MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 25. WARSZAWA, 17 CZERWCA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

PO ROKU SZKOLNYM

STOIMY u końca roku szkolnego, roku, który niewątpliwie należał do ważniejszych w dziejach naszego współczesnego szkolnictwa. Godzi się w chwili obecnej rzucić spojrzenie wstecz i dokonać próby krytycznej oceny naszego dorobku kulturalnego w dziedzinie szkolnictwa, dorobku albo strat, o ile się one zaznaczyły.

Jeśli stwierdziliśmy powyżej, że rok ubiegły należał do ważniejszych w dziejach szkolnictwa, to mieliśmy na myśli fakt niewątpliwie pierwszorzędnej wagi, jakim stało się faktyczne wprowadzenie w życie nowego ustroju szkolnego i wydanie nowych programów szkolnych, które zastosowano narazie tylko w niższych klasach. Programy te zawierają momenty niesłychanie charakterystyczne dla dzisiejszej rzeczywistości polskiej; są one znakomitym objawem tej wewnętrznej rozterki, w jakiej pracują oficjalni twórcy współczesnego naszego życia państwowego.

Bo popatrzmy tylko: jako naczelną zaletę nowych programów, jako cechę, wyróżniającą je od poprzednich, przedmajowych, wysunięto tezę, że oparte są na zasadach psychologicznych i dostosowane do okresów rozwojowych dziecka. Istotnie, zaangażowano sztab psychologów i *quasi* psychologów, zadrukowano sporo papieru na te „podstawy psychologiczne". I stworzono: program szkoły powszechnej z ogromnem upośledzeniem potrzeb duchowych dziecka wiejskiego oraz program gimnazjum, w którem kazano dziecku 12 — 13 letniemu, a więc znajdującemu się w najtrudniejszej fazie rozwojowej, w klasie I nowego gimnazjum, pokonywać odrazu olbrzymie trudności. Wprowadzono np. w ciągu tego pierwszego roku studjów gimnazjalnych dwa nowe języki obce (łacina i j. francuski albo niemiecki); nakazano w ciągu tegoż jednego roku przechodzić całe dzieje starożytne i sporą część średniowiecza, od starożytnego Wschodu do śmierci Karola Wielkiego; a wreszcie cały prawie materjał naukowy języka polskiego oparto właśnie na dziejach starożytnych, czyniąc w ten sposób język polski nauką pomocniczą do historji starożytnej.

Dlaczego te właśnie dyscypliny mają być dostosowane do rozwoju psychicznego dziecka w klasie I, tego naprawdę nikt nie potrafi wyjaśnić.

Naturalnie nie jest to jakiś przypadkowy zbiór nonsensów psychologicznych i pedagogicznych. Poprostu nowy ustrój szkolny wprowadził (naszem zdaniem, bardzo niefortunnie) 4-klasowe gimnazjum, mające dać jakiś całokształt wiedzy wraz z nauką języka obcego i łaciny; trzeba więc było w jakiś sposób poradzić sobie z nawałem materjału. Kto wie, może to było nawet stosunkowo najlepsze wyjście z tej sytuacji, jakby umyślnie najeżonej trudnościami? Ale w takim razie nie należało już akcentować, że program jest dostosowany do „faz rozwojowych dziecka"!

To jedna taka sprzeczność, ale jest ich znacznie więcej w nowych programach. Bo tworzyli je ludzie, którzy mają duszę w rozterce, ludzie, którzy swe stare nałogi radykalno-rewolucyjne z trudem naginają do roli sterników państwa i twórców wychowania państwowego i nie mogą się przyzwyczaić, że dziś już chyba nie rewolucji i burzenia mają uczyć, ale pozytywnej pracy twórczej. W całym programie historji, a zwłaszcza w nauczaniu naszych dziejów porozbiorowych ten pierwiastek rewolucyjno-romantyczny występuje wyraźnie na plan pierwszy, spychając w cień zasługi tych wszystkich, którzy budowali niepodległość nie w blasku bomb i nie poprzez powstania.

Nowe programy szczycą się dalej swym naciskiem na istotne, konkretne wyniki nauczania; ale równocześnie, hołdując potrzebom chwili, poświęcają w szkole sporo czasu na agitację w duchu t. zw. „wychowania państwowego", wyraźnie zachęcając nauczycieli do popisywania się przedewszystkiem tą stroną swej działalności. Ta maniera wysadzania się na „wychowanie państwowe" stała się już dziś chorobą szkoły polskiej, a z wy-

nikami naukowemi jako żywo mało ma wspólnego.

Szkoła polska według nowych programów ma być zbliżona do życia, ale programy zajmują wyraźnie niechętne stanowisko wobec objawów życia religijnego oraz wobec nacjonalizmu, choć te właśnie prądy tak charakterystyczną cechę nadają życiu współczesnemu. Poczucie narodowe, jeśli wprost nie jest potępione w nowych programach, to w każdym razie jest jakąś kwestją wstydliwą, kwestją, którą należy możliwie przemilczać. Przeto też patrząc na to, co się dokoła nas dzieje w świecie, możemy śmiało „nową" szkołę polską nazwać w założeniu swem raczej wsteczną szkołą „reakcyjną", że użyjemy dawnej terminologji masońskiej. Jest zaś reakcyjną właśnie dlatego, że owiana jest tchnieniem ideologji masońskiej.

— — — — — — — — — — — — —

Wydaje nam się, że wprowadzenie nowych programów oraz ich określony powyżej charakter to jest właśnie najbardziej znamienny fakt z życia szkoły polskiej w ubiegłym roku. Inne są bardziej znane z prasy codziennej, choć zasługiwałyby na szczegółową analizę także na tem miejscu. Do nich należy coraz to zwiększający się etatyzm w szkolnictwie, pod którego uciskiem jęczy zwłaszcza prywatne szkolnictwo polskie, dewastowane przedewszystkiem pod względem moralnym. Etatyzm ten ogarnia też coraz bardziej życie wewnętrzne szkoły, tworząc mnóstwo funkcyj rzekomo dobrowolnych, a w istocie kierowanych nakazem z góry. Typowym tego przykładem są najrozmaitsze uroczystości szkolne oraz coraz to nowe „dobrowolne" składki, ściągane w istocie przymusowo i zabijające wszelką samorzutną ofiarność młodzieży.

Bardzo charakterystycznym objawem jest wzrastający z roku na rok wpływ żydów w szkolnictwie. Już nietylko hebrajskie, ale i żargonowe gimnazja mają prawa publiczności, a maturzysta żargonowiec zjawia się na terenie uniwersytetu, jako pełnoprawny obywatel akademicki. W nauczycielstwie, w prasie pedagogicznej, nawet w organizacjach młodzieży, żydzi zaczynają odgrywać rolę zupełnie przodującą. Najbardziej typowym pod tym względem jest *leader* Związku Nauczycielskiego, redaktor dwu czasopism pedagogicznych, nauczyciel państwowy i dyrektor gimnazjum prywatnego w jednej osobie, *cheval de bataille* wszelkich oficjalnych i półoficjalnych zebrań nauczycielskich, sekretarz Straży Przedniej na Warszawę, niezmordowany organizator różnych mniej lub więcej udanych obchodów państwowych, mówca, doradca i pośrednik, człowiek, który się dwoi i troi w niezmordowanej służbie dla Państwa i ideologji, postać, która się prosi o pióro Adolfa Nowaczyńskiego, słowem: Berek - Bernard - Stefan, trojga imion i trojga nazwisk: Mandelbaum - Drzewieski - Drzewiecki!

Wreszcie piętno charakterystyczne ubiegłemu okresowi szkolnemu nadawał coraz to wzrastający nacisk na młodzież i na nauczycielstwo. Kartkę z życia „akcji młodzieżowej" dał nam niedawno na łamach „Myśli Narodowej" Józef Hajewicz w swem ciekawem studjum o „Kuźni Młodych". Dola nauczycielstwa wymaga również osobnego artykułu, dlatego też wstrzymujemy się tu od jej omawiania. TADEUSZ JANOWSKI

DZIAŁALNOŚĆ JAKÓBA FRANKA

W DRUGIEJ POŁOWIE XVIII wieku wielotysięczna rzesza żydów porzuciła dobrowolnie wiarę przodków i przeszła na łono kościoła rzymsko-katolickiego. Przyczynił się do tego Jakób Lejbowicz (później nazwany Frankiem) z Karolówki na Podolu, prowodyr tłumów żydowskich, które służyły mu „jako dziedzicznemu panu poddani" (Z. L. Sulima: „Historja Franka i Frankistów", str. 129). Dn. 5 XII. 1755 r. (data, uważana przez historyków żydowskich za bardzo ważną w dziejach Izraela) pojawił się Jakób Frank, tytułowany w owym czasie przez żydów chachamem Frenk Jakoff Jossyfem, w Polsce, gdzie rozwinął ożywioną agitację, zyskując sobie licznych zwolenników. Frank głosił żydom, że „nadszedł nakoniec czas na oswobodzenie Izraela wyznaczony; że naród żydowski wnijdzie niebawem w dziedzictwo i używanie wszystkich zaszczytów, swobód i dobrodziejstw, jakie Pan przedwieczny przyrzekł ich przodkom". W krótkim czasie potworzyły się całe koła jego stronników. Zyskał on poparcie szeregu poważanych rabinów, wśród których najgorliwszymi współpracownikami jego byli: Elisza Szor z Rohatyna, którego córka Chaja uchodziła za prorokinię, Lejb Krysa z Nadwornej, tajemniczy rabbi Elisze z Podhajec, Szajes, Lejba z Brzezia, Wolf z Krzywoczy, Izrael z Glinian, Falik z Lanckorony i Boruch z Rawy Ruskiej.

Szybko rozrastająca się sekta wywołała początkowo ogromne oburzenie wśród prawowiernych żydów. Doszło nawet do tego, iż podczas zjazdu Franka i jego zwolenników w Lanckoronie oskarżyli go talmudziści przed władzą polską o kaptowanie zwolenników wśród żydów dla Turcji i przyczynili się do aresztowania go. Sąd rabiniczny zaś i sejm czterech ziem rzucił klątwę na licznych jego stronników, zakazując prawowiernym zadawania się z heretykami. Prześladowani zewsząd Frankiści udali się pod opiekę biskupa kamienieckiego Mikołaja Dębowskiego, który wypędził żydów w r. 1750 z Kamieńca Podolskiego. Po nagłej śmierci biskupa (prawdopodobnie otrutego przez żydów za przyczynienie się do spalenia w r. 1757 tysięcy egzemplarzy talmudu) dotarli do samego króla Augusta III, który dał im w czerwcu 1758 r. list bezpieczeństwa.

W tymże czasie doszły do Franka, przebywającego w Giurgiewie na Wołoszczyźnie, wieści o intrygach, knowanych przeciwko niemu przez żydów na dworze sułtańskim. Wobec tego Frank uznał za jedyny środek ocalenia przyjęcie Islamu. Wdziawszy tedy zielony turban, wraz z dziesięcioma swoimi zwolennikami porzucił publicznie judaizm i zaczął uczęszczać do meczetów, zapewniwszy sobie tym sposobem bezpieczne schronienie w tureckich posiadłościach.

Po pewnym czasie Frank zjawia się na żądanie swoich wiernych z powrotem w Polsce; doszedł on do przekonania, iż konieczne jest dać polskiemu duchowieństwu do zrozumienia, że

nie byłby on przeciwny (wraz ze swoimi stronnikami) przyjęciu chrześcijaństwa. Z opowiadań jego wynika, iż w lipcu 1759 r., po tajemniczych ceremonjach, odbytych we wsi Iwaniu na Podolu, usłyszała gromada po raz pierwszy wyraźną jego wolę przyjęcia chrztu.

Do tej decyzji Franka przyczynili się poważnie sami żydzi. Obradujący w Konstantynowie sejm czterech ziem przyszedł po dłuższych, poufnych rozprawach do wniosku, iż trzeba poprzeć usiłowania wielbicieli Franka. Jak zaznacza żydowski historyk Nussbaum w swojej historji żydów „dużo pieniędzy" wydali prawowierni żydzi na zachody około tej sprawy, przyśpieszając poważnie dzień chrztu nowotworzącej się sekty. Z relacji prymasa Łubieńskiego, złożonej w dn. 15 maja 1759 r. nuncjuszowi papieskiemu ks. biskupowi Serra w Warszawie, widać, że na zamiary antytalmudystów spoglądano z nieufnością w sferach wyższego duchowieństwa katolickiego. Powodów ku temu było wiele. Z zachowania się Franka i jego zwolenników we Lwowie było widoczne, iż nie tyle zależało im na przyjęciu chrztu, ile na ukształtowaniu się w rodzaj sekty pod protektoratem królewskim. Pozornie skłaniali się niby kontrtalmudyści do chrztu, a potajemnie spełniali tajemnicze obrządki, nic nie mające wspólnego z wiarą, jaką mieli przyjąć.

Jednymi z pierwszych, co chrzest przyjęli, byli Szorowie i Krysowie. Za ich przykładem poszło w przeciągu dwu miesięcy w samym tylko Lwowie około tysiąca rodzin. Sam Frank ochrzcił się później w Warszawie, w kaplicy królewskiej w Pałacu Saskim. Co się tyczy jego żony i córki Ewy, to przeszły one na katolicyzm w lipcu 1762 r. w Lublinie. Za przykładem Franka poszło wiele tysięcy rodzin żydowskich, którym zwykł mawiać, że „jak Jakób święty czcił Pana swego w cudzym Bogu, tak i my powinniśmy czcić swego Boga". Szpalty gazet polskich napełniały ustawicznie szeregi imion nowochrzczeńców.

Teodor Morawski w „Dziejach nar. pol." określa cyfrę frankistów, którzy w drugiej połowie XVIII w. przyjęli chrzest, na 24.000 osób, którą to cyfrę potwierdzają regestra prezydenta Witthofa.

Tajemnicze praktyki Jakóba Franka obudziły czujność wyższego duchowieństwa. I tak nuncjusz otrzymał zawiadomienie od pewnego frankisty, złożonego ciężką niemocą, iż Jakób Frank zbiera w pewne dni swoich najbliższych dla śpiewania pieśni w języku żydowskim i spełniania dziwnych ceremonij. Do tych wiadomości przyłączyła się jeszcze i najświeższa, że frankiści praktykują między sobą poligamję i inne zwyczaje, zapożyczone z Turcji, skąd niektórzy pochodzili. Musieli prawdopodobnie i inni uczniowie Franka uczynić sekretne zeznania, gdyż znajdujemy w późniejszych mowach „mistrza" zgryźliwe napomknięcia o tem. Zebrany materjał spowodował aresztowanie Franka w lipcu 1760 r., a po przeprowadzeniu śledztwa został on wyrokiem sądu duchownego skazany na stałe zamieszkanie w twierdzy częstochowskiej.

Przebywającemu blisko trzynaście lat w Częstochowie Frankowi pozostawiono względną swobodę w obrębie fortecy, umożliwiając mu utrzymywanie stałego kontaktu ze swoją kompanją. Pobłażliwość garnizonu fortecznego posunęła się do tego stopnia, iż pozwolono frankistom stworzyć w Częstochowie kolonję, wśród której Frank stale przebywał. Pozornie życie owej gromadki poddane było panującemu regulaminowi. Jako katolicy spełniali oni przepisane obrządki: chodzili do kościoła i spowiadali się. Frankiści czynili to jednak nie z przekonania, lecz dla pozorów i z obawy, by księża nie powzięli podejrzenia o sekciarskich ich praktykach. Potajemnie bowiem schodzili się oni nocami do izdebki więziennej „mistrza", który rozwijał przed nimi zasady, nie mające nic wspólnego z dogmatami kościoła katolickiego, i oddawali się tajemniczym ceremonjom.

Sam Frank pozornie udawał gorliwego wyznawcę idei miłosierdzia chrześcijańskiego, otwarcie głosił przed najbliższymi konieczność masowego przejścia ogółu żydów na wiarę „rzymsko-chrześcijańską", dla ich własnego dobra, lecz w zakątkach swej duszy, jak pisze Kraushar: „odczuwał nienawiść do księży i żal do uczniów, że niewczesną gadaniną we Lwowie i w Warszawie zdradzili go przed duchowieństwem". Wielce charakteryczne u Franka było, że mimo aspiracyj do odegrania roli jakiegoś nowożytnego mesjasza na gruncie przyjętej i publicznie pozornie wyznawanej wiary chrześcijańskiej, i pomimo skarg przed duchowieństwem katolickiem na towarzyszów, że obrządków żydowskich i sabbatejskich porzucić nie chcieli, sam zdradzał tajemną skłonność do obrządków żydowskich. Gdy był sam na sam z najzaufańszymi, odzywała się w słowach Franka nuta nienawiści i żądza zemsty. „Dzień mściwy jest ukryty w sercu mojem. Bądźcie spektatorami i obwoływaczami na świecie... Teraz wam odkryć nic nie mogę, lecz powiadam wam: wkrótce się wam rzecz pewna pokaże, na którą patrzeć macie... Bądźcie ostrożnymi... Mówiłem wam, iż nastąpi dzień mściwy" (A Kraushar: „Frank i Frankiści", t. I. str. 271). Frank nie uważał zemsty za rzecz niemoralną, nawet doradzał ją. (Biblja bałam. str. 80-81) Na nią kazał uczniom oczekiwać póty, póki chwila przeznaczona nie nadejdzie. W tym też czasie staje się Frank konfidentem Repnina, z którym nawiązuje kontakt za pośrednictwem swoich najbliższych. W czerwcu 1765 r. trzech zaufanych frankistów w towarzystwie niejakiego Jaskiera (żyda), osobistości zagadkowej, udaje się na rozkaz swego przewódcy do Moskwy; bawili tam 8 tygodni, poczem, wróciwszy do Warszawy, stawili się u Repnina, któremu zakomunikowali, że ich naczelnik, doszedłszy ze studjów nad księgami kabalistycznemi do wniosku, iż wiara grecka jest najprawdziwsza, chce przejść na tę wiarę. Przebieg i rezultaty poselstwa Franka do Moskwy obejmuje list z Petersburga, wysłany w 1768 r. do rabina Jakóba Emdena, znanego z wystąpień przeciwko Jonathanowi Eibenschützowi (przewódcy dwóch zwalczających się zacięcie stronnictw żydowskich, z których jedno, i to zwycięskie, opowiedziało się za niezwłocznem skupieniem jak największej ilości izraelitów w Polsce), przytoczony przez Grätza *(Beilage nr. VII zur monogr, Frank und die Frankisten).*

W przededniu konfederacji barskiej Frank rozwinął niezwykle energiczną działalność, rozsyłając na wszystkie strony wysłańców z tajemniczemi zleceniami. Z poselstwem takiem jeździł na Morawy Mateusz Matyszewski i Jan Wołowski, do Pragi Czeskiej Paweł Pawłowski i Piotr Jakn-

bowski, a po powrocie mistrz wysłał ich wszystkich na Podole.

Wśród ogólnego zamieszania w kraju i krwawych walk konfederatów barskich z najeźdźcą, frankiści polscy, jak pisze Kraushar: „pędzili żywot bez troski". Poselstwa mistrza dobrze spełniły swoje zadanie, gdyż dowódcy moskiewscy, jakgdyby stosując się do rozkazów, oszczędzali celowo wielbicieli Franka. Ukoronowaniem wszystkiego było wyzwolenie „przyjaciela Repnina" z więzienia przez generała rosyjskiego Bibikowa po zajęciu przez Rosjan Częstochowy.

W styczniu 1773 r. opuścił Frank z córką Ewą Częstochowę i po krótkim pobycie w Warszawie udał się przez Tropawę do Brna Morawskiego. Widocznie „mistrz" nie mógł dłużej popasać w Polsce po tylu dowodach przyjaźni, którą okazywał wraz ze swoimi zaufanymi Moskalom, a może rola, nakreślona przez żydostwo światowe temu „politycznemu mesjaszowi upadającej Polski", już skończyła się częściowo. Działalności swojej Frank jednak nie zaniechał. Już w drodze do Brna, po naradzie z zaufanymi, wysłał on Jaskiera i Dominika Markiewicza na Bukowinę z jakiemiś tajemniczemi zleceniami. Przypuszczalnie rozpoczęto już agitację wśród bałkańskich żydów za emigracją do Polski. Po osłabieniu narodu polskiego uważano widocznie za wskazane skierowanie mas żydowskich z Turcji nad Wisłę. W grudniu 1774 r. wysyła Frank dwukrotnie poselstwo do Turcji; biorą w niem udział: Paweł Pawłowski, Jan i Ludwik Wołowscy, Kapliński i Piotr Jakubowski. Praca ich na terenie Porty Ottomańskiej nie spodobała się tamtejszej władzy, gdyż byli oni dłuższy czas trzymani w więzieniu przez baszę Skutari. Tajemniczo o tem wspomina Kraushar, pisząc, iż „knuł Frank jakieś nowe awanturnicze zamysły, zbierając zewsząd pieniądze". Działy się tam rzeczy nie znoszące światła dziennego; świadczą o tem rozkazy „mistrza", przesyłane za pośrednictwem „nadwornera" Mateusza do Warszawy oraz wzmianki o nieustannych poselstwach do Stambułu. Oszukuje też Frank w dalszym ciągu władze kościelne, przemycając pod pozorami praktykującego katolika sekciarskie obrządki. Nawiązał on także w tym czasie ścisłe stosunki z sabbatejczykami morawskimi i niemieckimi, wśród których zyskał wielu zwolenników.

W dwa lata po przybyciu do Brna udało się Frankowi zwrócić uwagę cesarza Józefa II na młodą i urodziwą córkę swoją Ewę... Sprawiła ona silne wrażenie na tym czułym na wdzięki niewieście Habsburgu; Frank nie omieszkał tego wyzyskać, przeniósłszy swoją siedzibę z Brna do Grabienic. Stosunki mistrza i jego córki z Józefem II trwały nieprzerwanie. Wizyty odbywały się w obozach, w których cesarz, jako naczelny wódz, spędzał najczęściej wolne od czynności dworskich chwile. Nie ulega wątpliwości, że stosunki córki Franka z cesarzem Józefem nie były platoniczne. Cynizm mistrza, przejawiający się w jego czynach i w zbyt lekkiem traktowaniu stosunków rodzinnych, nie stawia domysłom czytelnika w tym kierunku stanowczych przeszkód. Za cenę tak wyjątkowo wysoką, jaką była cześć córki, zyskał Frank przychylność Józefa II. Teraz zachodzi pytanie, w jakim kierunku chciał „mistrz" wyzyskać wpływy cesarza Austrji. O środki materjalne nie potrzebował się on troszczyć dzięki bankierom Frankfurtu, udzielającym miljonowych kredytów (relacje bankiera Schenk-Rincka). Położenie żydów w cesarstwie znacznie się poprawiło (*Judenordnung* 1774 r.). Al. Kraushar w swojej pracy o Franku wyjaśnia to dość dziwnie. Zaznacza on, iż być może „mistrz" pragnął przy pomocy rozmiłowanego we wdziękach Ewy młodego cesarza zrzucić w razie wojny z Turcją sułtana z tronu i zasiąść na nim jako były wyznawca Islamu. Uważamy, iż zbyt realnym człowiekiem był Frank, ażeby dążyć do zajęcia miejsca Padyszacha. Tajemnicze poselstwa przewódcy sekty do Turcji, pokątne rozmowy jego posłów z wezyrami stykają się z momentem bardzo ważnym w historji żydostwa światowego, a mianowicie z rozpoczynającą się podówczas wielką wędrówką żydów tamtejszych do Polski. Ścisła łączność między temi rzeczami musiała istnieć, a o tem nie mógł nic wiedzieć mecenas Kraushar.

Zakończenie owej masowej wędrówki setek tysięcy żydów na ziemie polskie znowu dziwnie zbiega się z wyjazdem Franka do Offenbachu, położonego w pobliżu Frankfurtu nad Menem. Widocznie „mistrz" uznał za bardziej potrzebne osiedlenie się w pobliżu granic innego kraju, gdzie miały rozegrać się wkrótce wydarzenia wielkiej doniosłości. Są pewne dane, iż Franka i jego zwolenników łączyły ściślejsze stosunki z illuminatami. Wspomina o tem Kraushar w formie zresztą bardzo oględnej, zaznaczając, iż w murach nowej siedziby mistrza na zamku w Offenbachu „odbywały się pod pozorem prawomyślności katolickiej praktyki tajemnicze, nader ściśle z obrzędami illuminatów skojarzone". I byłby ów tajemniczy tryb życia frankistów w Offenbachu pozostał może zagadką, gdyby nie książeczka rękopiśmienna, obejmująca tak zwane „Proroctwa Izajaszowe". Książka ta, nieznana aryjczykom w całości, jest właśnie okazem owej mniemanej nauki, ujętej w systemat przez najbliższych zwolenników i następców Jakóba Franka, a stanowiącej mieszaninę kabały z reminiscencjami biblijnemi, której środkowym punktem było pojęcie nowego mesjasza. Są tam złowieszcze przepowiednie kataklizmów, które miały dotknąć kraje chrześcijańskie. W rozdziale XVI „Proroctw Izajaszowych" omówiona jest straszna przyszłość narodów europejskich, a przedewszystkiem Francji (kraju Filistynów). Krajowi temu przepowiedziany był zawczasu przewrót społeczny i stracenie króla Ahasa (Ludwika XVI). Frank wraz z kompanją zabawił się nietylko w przepowiadanie smutnej przyszłości państwu francuskiemu; wysilił się on też na proroctwa polityczne w stosunku do Polski w rodzaju: „Uważcie, nim ja wszedłem do Polski, wszyscy panowie siedzieli spokojnie i król z nimi, a skorom wszedł do Częstochowy, opowiedziałem i doniosłem wszystkim, że Polska rozdzieloną zostanie" (Kraushar: „Frank..." t. II str. 38). Wiele więc wiadomości, niedostępnych dla ówczesnych narodów aryjskich, posiadał ów człowiek, którego Mojżesz Mendelssohn ośmielił się w swojem dziele p. t. *„Jerusalem oder über religiose Macht im Judentum"* porównać z Chrystusem.

Co się tyczy rękopisu o „Proroctwach Izajaszowych", to na podstawie cytat, które zostały po „odpowiedniem spreparowaniu" podane przez A. Kraushara do wiadomości ogółu aryjskiego, należy przypuszczać, iż dobrze mu był znany. Wysoce więc niezrozumiałe będzie dla czytel-

nika, dlaczego autor obszernej monografji o Franku nie podał tajemniczej książki w całości. Przypuszczamy, iż wiele światła rzuciłyby „Proroctwa Izajaszowe" na historję ostatnich trzydziestu lat niepodległości Polski. Nasuwa się mimowoli podejrzenie, iż mecenas Kraushar uczynił to świadomie. Bał się on, być może, iż społeczeństwo polskie dowie się zbyt wiele. A może „Proroctwa Izajaszowe" uzupełniłyby te pewne luki, co do programu panjudaizmu, które posiadają „Protokuły mędrców Syjonu".

STANISŁAW DIDIER

POLSKIE DĄŻENIA MORSKIE ZA PIASTÓW

NARODY, podobnie jak należący do nich ludzie, są stworzone do współżycia i współpracy. Współżycie i związana z tem współpraca wymagają wszakże jednego przedewszystkiem warunku, jakim jest łatwość obcowania z innymi ludźmi, innemi narodami. Stąd wynika pęd do szukania najłatwiejszych arteryj komunikacyjnych i skupiania się ludzi w punktach węzłowych.

Najłatwiejszą, bo zawsze otwartą i dla wszystkich dostępną, była od niepamiętnych czasów droga wodna i, jak wskazują nam dzieje, wszystkie ośrodki cywilizacyjne powstawały zawsze bądź nad brzegami rzek, bądź nad wybrzeżami mórz. Możemy tutaj zauważyć pewną regularność w tworzeniu się tych ośrodków, z których następnie powstawały państwa. Mianowicie, ludzie zazwyczaj osiedlają się nad rzeką w tem miejscu, gdzie zaczyna ona być spławną, a potem, nie opuszczając siedliska początkowego, zaczynają posuwać się z biegiem tej rzeki ku jej ujściu t. j. ku morzu. Posuwanie się takie jest znaczone zakładaniem siedlisk drugorzędnych w widłach dopływów do danej rzeki i kończy się założeniem drugiego wielkiego siedliska przy ujściu tej rzeki do morza. Po założeniu wspomnianego powyżej siedliska nadmorskiego zaczyna się drugi etap wędrówki, która odbywa się wzdłuż brzegu morskiego, częściowo lądem, bo naogół wybrzeża morskie są dość łatwe do przechodzenia, a częściowo morzem. Podczas tego drugiego etapu przybysze z głębi lądu poszukują zasadniczo ujść innych rzek, wpadających do danego morza, a następnie zaczynają zapuszczać się na przestworza morskie.

Streszczając, da się powiedzieć, że każdy naród, czując w sobie siły żywotne do samodzielnego bytu, dąży ku morzu z biegiem rzek, przepływających jego tereny ojczyste, stara się opanować brzegi morskie, znajdujące się między ujściami tych rzek i zaczyna posuwać się na falach morskich ku nowym lądom i nowym ludom. Przykładów tutaj można dać bez liku, zaczynając od Chin w dolinie Jang-tse-kjangu, Egiptu z Nilem, Grecji z opanowaniem Peloponezu, wreszcie Rzymu z konsekwentnem opanowywaniem doliny Tybru, następnie brzegów półwyspu Apenińskiego, a potem całej kotliny morza Śródziemnego. W średniowieczu widzimy podobną ekspansję wojenną u Normandów, handlowo-wojskową u Arabów i przeważnie handlową u miast włoskich na południu oraz hanzeatyckich na północy. Dzieje nowożytne dają nam ekspansję wojskowo-handlową u Portugalczyków, Hiszpanów i Holendrów, a potem Francuzów, Anglików i Niemców. Wreszcie przed samą Wielką Wojną Światową daje się zauważyć żywiołowy pęd Serbów ku Adrjatykowi.

Dążenie ku morzu jest oznaką dojrzałości danego narodu i sprawdzianem jego sił żywotnych.

Polska nie stanowiła pod tym względem wyjątku. Popychało ją zresztą położenie geograficzne. Jak wiadomo, szlak handlowy, wiodący od morza Śródziemnego ku Bałtykowi, szedł jeszcze od czasów rzymskich w górę Dunaju, następnie Morawy, przez przełęcze sudeckie i Beskidów Zachodnich w dolinę Prosny i dochodził do Gopła. Jezioro to, we wczesnem średniowieczu jeszcze, było znacznie większe od obecnego. Południową jego część stanowiło dzisiejsze jezioro Ślesińskie, które za pośrednictwem zaginionej teraz rzeki Goplenicy miało połączenie z Wartą w okolicach Miłosławia. Wschodnią część Gopła stanowiło nieistniejące dzisiaj jezioro Bachorza, po którem pozostały jedynie moczary Bachorskie i odwodniające je kanały. Owo jezioro Bachorza miało znów połączenie, zapomocą egzystującej do dnia dzisiejszego rzeki Zgłowiączki, z Wisłą w okolicach Włocławka. Poziom Gopła był wówczas wyższy o 3,5 m. Tafla goplańska była więc rozwidleniem się szlaku handlowego, idącego ku Bałtykowi. Na południe skręcało się z Gopła na Wartę a potem Odrę, posuwając się ku wylotowym morskim portom odrzańskim: Szczecinowi i Wolinowi, owej bajecznej Winecie, a na wschód wychodziło się na Wisłę, której fale niosły głównym nurtem na dzisiejszy Nogat do bogatego miasta Truso, obecnego Elbląga, znajdującego się między zalewem Wiślanym a jeziorem Druznem.

Bałtyk nęcił Greków, Rzymian i Arabów rzeczą w starożytności i średniowieczu nader kosztowną, bursztynem, a ziemie słowiańskie, leżące na tym odwiecznym szlaku handlowym, dostarczały również towaru, tak poszukiwanego w ówczesnym świecie cywilizowanym, zdrowych i silnych niewolników. W dodatku za ów bursztyn i za owych niewolników nie trzeba było przepłacać. Wystarczały drobiazgi i tandeta. Stąd ruch był bardzo ożywiony na słowiańskim trakcie, wiodącym przez wody Gopła, Odry i Wisły. Punkt przeładunkowy był na Gople i tam też powstała Kruszwica, z której wyszli Piastowie.

Mocna to była dynastja ci Piastowie, pochodząca kość z kości i krew z krwi polskiej! Wyszedłszy z Kruszwicy, rozpoczęli oni w IX-ym wieku zbieranie szczepów lechickich, siedzących między Odrą i Wisłą, i tworzenie jednego potężnego państwa.

W tem tworzeniu państwa polskiego posuwały się drużyny pierwszych Piastów starym, utartym szlakiem handlowym, t. j, na zachodzie Wartą i Odrą, a na wschodzie Wisłą. Temu zwycięskiemu podbojowi lechickich szczepów nie stawały wówczas na przeszkodzie okoliczności zewnętrzne, bo w IV-em stuleciu fala niemiecka od zachodu przelała się dopiero na prawy brzeg Łaby i zaczęła zalewać dopiero ludy słowiańskie między Łabą i Odrą, a na wschodzie niezbyt liczne plemiona

litewskie, jak Prusowie za dolną Wisłą i Jadźwingowie między średnią Wisłą i Bugiem, nie wykazywały wielkiej ochoty do przedzierania się przez niezgłębione bory, zajmujące tereny dzisiejszych Prus Wschodnich i Polski środkowej. Pochód zatem piastowski ku północy dolinami odrzańską i wiślaną odbywał się, choć wolno, ale dość spokojnie i w drugiej połowie X-go stulecia widzimy pierwszego historycznego władcę Polski, Mieszka I-go (963 — 992), stojącego już przy ujściu Odry do Bałtyku, a jednocześnie prawie zjawiają się drużyny polskie przy ujściu Wisły, zajmując Gdańsk. W ten sposób w końcu X-go stulecia Piastowie stanęli u dwóch końców bałtyckiego szlaku handlowego i oparli się o morze. Teraz nastąpił z kolei rzeczy drugi etap w ich dążeniu morskiem, mianowicie, opanowanie wybrzeża między ujściami Odry i Wisły, t. j. walka o przyłączenie Pomorza. Walka ta trwała przez cztery wieki zgórą: zaczął ją Mieszko I, a pozostawił jej zakończenie w swym testamencie politycznym Kazimierz Wielki.

To wybrzeże morskie, o które walczyli Piastowie, stanowiło prostokąt. Dłuższe boki jego liczyć można na 400 klm., krótsze — na 150 klm. Dłuższemi bokami były: na północy linja brzegowa Bałtyku między ujściami Odry i Wisły, a na południu równoległy do tej linji bieg Noteci, aż do jej wpadnięcia do Warty pod Santokiem, i dalej Warty, aż do jej ujścia do Odry pod Kistrzyniem. Wschodni, krótszy bok stanowiła dolna Wisła, zaczynając od Wyszogrodu (dziś Fordonia), a zachodni—dolna Odra od wspomnianego powyżej Kistrzynia. Teren prostokąta przedstawia naogół równinę, pochyloną ku Bałtykowi z szeregiem niewielkich, bo dochodzących zaledwie do 250 m. wysokości, wzgórz, biegnących pośrodku prawej połowy prostokąta równolegle do Bałtyku i Noteci. Był on pokryty gęstemi lasami, które na brzegach Noteci przechodziły w nieprzebytą puszczę. Grunt był dość suchy na północy, tworząc piaszczyste wybrzeża morskie, a bardzo błotnisty na południu, przechodząc w niezgłębione moczary i trzęsawiska nadnoteckie.

Większość rzek miała zlewisko do Bałtyku, były one krótkie i o spokojnym biegu. Do ważniejszych należały: Rega, Prośnica (niem. Persante), Wieprz (niem. Wipper), Słupia (niem. Stolpe) i Łeba (niem. Leba). Rzeki, płynące na południe, ku Wiśle, jak Brda, i Noteci, jak Głda (niem. Küddow) i Drawa (niem. Drage), były dłuższe i miały bieg również spokojny. Ludność miejscowa, Pomorzanie, była pochodzenia rdzennie lechickiego, jak jej bracia nad Gopłem i Wartą, trzymała się przeważnie w miastach, między któremi wybijały się na pierwszy plan grody portowe, jak wspomniane wyżej Szczecin i Wolin, oraz Kołobrzeg (niem. Kolberg) nad Prośnicą i Gdańsk. W głębi kraju było również parę miast ważniejszych, jak Starogród (niem. Stargard a. d. Ihna), Białogród (niem. Belgard) nad górną Prośnicą, Sławno (Niem. Schlawe) nad Wieprzem, Słupsk (niem. Stolp) nad Słupią i Bytów (niem. Bütow). Wreszcie, na południu, u paru brodów nadnoteckich znajdywały się: wspomniany powyżej Santok (niem. Zantoch), Czarnków, Ujście przy ujściu Głdy oraz Nakło. Większość miast nadnoteckich leżała na lewym brzegu Noteci i stanowiła jakby przyczółki do brodów, które przechodziły w bagna na prawym brzegu rzeki.

(D. c. n.) WITOLD HUBERT

CZY WIERSZ GOSZCZYŃSKIEGO?

W R. 1845 wyszedł w Wilnie rocznik p. t. „Lud i czas” pod redakcją Januarego Filipowicza. Miało to być „pismo, poświęcone literaturze i moralności”, ale na tym jednym tomie rzecz się skończyła. Wydawnictwo było pomyślane jako placówka postępowa, przeciwstawiająca się n.p. „Atheneum” Kraszewskiego, acz postępowość ta była swoista, zgodna ze swym czasem, więc np. w artykule redaktora „O związkach i wpływach wzajemnych ducha i materji w człowieku”, mamy silnie podkreślone „stanowisko spirytualne” i wyraźne echo głośnego artykułu „ojca Bronisława” (Trentowskiego) w III t. „Bibljoteki Warszawskiej“ z r. 1842 p. t. „Związek duszy z ciałem”, gdzie autor próbuje się przeciwstawić Heglowi (n.p. na str. 61: „Polak rozumie pod jaźnią ciało i duszę społem i może zbudować system nowej prawdziwej filozofji, na jaką trudno się zdobyć utopionemu w swej jednostronnej spekulacji Niemcowi”). Prócz tego w roczniku „Lud i czas” są bardzo silne tendencje demokratyczne oraz brzmi bardzo wyraźnie nuta religijna.

Otóż w tem to piśmie na str. 95 — 164 znajdujemy dłuższe „Wspomnienia z życia akademickiego” (w Wilnie), napisane[1]) przez Walerjana Kępisa, którym to pseudonimem podpisywał się znany swego czasu literat Walerjan Tomaszewicz. „Wspomnienia” mają kształt opowiadania. Rzecz dzieje się w Wilnie w mieszkaniu Wołyniaków. Rozmawiają koledzy studenci: Władysław z (Litwy), Wołyniak, Paradoks, Guilliani, Myśliwy, Milczek (z Piotrkowa), Niemiec (z Warszawy), Żmudzin, zwany też Prozą, wreszcie Pumbo. Były „dwa głównie żywioły gawęd: kobiety i literatura” (str. 98), co tembardziej charakterystyczne, że rozmawiają tu medycy.

Pumbo opowiada, jak się zachował w domu jego ciotki Paradoks. Obrazek jakby żywcem wzięty z salonów warszawskich owego czasu, zaś Paradoks się zachowuje jak Dziekoński w „Pająku”, lub Norwid w „Piśmie”. Oto jako fant w grze w „gotowalnię”, Paradoks wypowiada wiersz „Samotność”, rzekomo Goszczyńskiego. Pumbo powtarza ten wiersz z pamięci:

„Kto z myślą niezbadaną wiecznie do gwiazd lata,
A sercem oderwany od ludzi, od świata,
Uciekłszy na pustynię, albo skał urwiska,
Spogląda, jak z ich szczytu strumień wód się ciska,
Lub, gdy go myśl wyniosła ku niebu wybiła,
Za szybkim orła lotem chciwy wzrok posyła —
Taki nie jest samotny; on mową milczenia
Toczy szczytne rozmowy z duchem przyrodzenia —
Ale kto otoczony towarzystwem ludzi,
Ich rozmową pogardza, rozmową się nudzi”

(Tu pokazał na stare Damy, na gromadkę grających w Gotowalnię i wistujących)

[1]) Porównaj S. Kossowskiego rzecz „O poemacie Słowackiego w Szwajcarji” (Lwów, 1931; odb. z „Przeglądu Humanistycznego”), zwłaszcza str. 10 — 11.

I z własnemi myślami wieczne toczy boje,
Niema serca, przed którem mógłby wylać swoje,
Niema istot, któreby z rajskiem uniesieniem
Zaszczytnem spółczłowieka mógł nazwać
[imieniem —
Ten prawdziwie samotny... Śród ludzi, a przecie
Wszystko, wszystko dla niego umarło na świecie.

Dotąd Goszczyńskiego — mówił Pumbo — on zaś bez zastanowienia się tak dalej improwizował:

„Bo te gromady machin, bez myśli, bez czucia,
Nie są dla niego ludźmi. — Śród świata zepsucia,
Śród tego zapomnienia godności człowieka,
Duch jego, gardząc światem w samotność ucieka,
I jak brzoza płacząca śród pustek smętarza,
Przed sobą samym tylko swe skargi powtarza. —
Bo pałająca dusza, bo serce czujące,
Śród dzisiejszych towarzystw nie znajdzie żywiołu;
A chcieć zbudzić do życia życie trupiejące,
To szkoda tylko pracy, to szkoda mozołu!
Tam go wist silną ręką od ludzi odeprze,
Tam go zabawa licha szyderstwem odgrozi,
Tam rozmowa o strojach myśli jego zetrze,
Tam mu śmiech niedołężny uczucia zamrozi —
Woli więc ze łzą w oku, z boleścią, z żałobą
Utonąć w samym sobie, i żyć tylko z sobą!"

— Możecie sobie wyobrazić (mówił dalej Pumbo), jakie wrażenie zrobiły na przytomnych te wiersze. Nastąpiła jakaś złowieszcza cisza, jakby przed burzą. Paradoks, przeczuwając, na co się zanosi, wziąwszy w dobrą porę za kapelusz, skłonił się i wyszedł" (str. 159 — 160).

Otóż wiersza powyższego, a właściwie pierwszej jego części, nie mogłem znaleźć ani w „Dziełach Zbiorowych" S. Goszczyńskiego, wyd. w r. 1911 przez Z. Wasilewskiego, ani też śród „Przyczynków", podanych przez S. Pigonia w „Pamiętniku Literackim" 1925 — 6. Wogóle rzecz to więcej, niż wątpliwa, by to był wiersz Goszczyńskiego. Sądzę raczej, że to świadoma mistyfikacja Tomaszewicza, albo też, co równie być może, omyłka.

W każdym razie zarówno sam wiersz, jak również ramy obrazka, w które jest on włożony, są nader charakterystyczne i rzucają ciekawe światło na analogiczne do Cyganerji Warszawskiej współczesne nastroje wileńskie.

STANISŁAW CYWIŃSKI

Bardzo słusznie prof. Cywiński podaje w wątpliwość twierdzenie Tomaszewicza, jakoby autorem wiersza „Samotność" był Seweryn Goszczyński. To nie jego styl, nie jego forma wiersza. Jest to strofa wybitnie Mickiewiczowska, użył jej ktoś bliższy Mickiewiczowi. Jeżeli istotnie rzecz działa się między studentami w Wilnie, a więc przed r. 1832 (data zamknięcia uniwersytetu), to wiersz musiał być pisany przed rewolucją, a Goszczyński w tych czasach o „Samotności" nie marzył, zresztą nie umiałby formułować tak po literacku filozoficznych sentencyj: Jeżeli Tomaszewicz tak słyszał nazwisko, to się przesłyszał, a jeżeli słyszał co innego i dobrze napisał, to pozostaje jeszcze zecer i korektor.

My dziennikarze wiemy, co się dzieje w druku z nazwiskami, gdy się źle druku pilnuje, a kto tam wie, czy redaktor „Ludu i Czasu" umiał dopatrzeć roboty. Gdy się nasuwa przypuszczenie błędu w brzmieniu wyrazu (czy z przesłyszenia, czy złego przeczytania), to pierwszą rzeczą do zrobienia jest pomyśleć, jak mógł brzmieć lub wyglądać wyraz podobny. W tym wypadku: Gaszyński. Istotnie w tomiku wierszy p. t. „Poezyje Konstantego Gaszyńskiego", wydanym w Paryżu 1844 r. (str. 146 i 4), a dedykowanym Krasińskiemu [2]), na str. 155 znajduje się ten wiersz. Są tam pewne odmiany w porównaniu z utworem, przytoczonym przez Tomaszewicza, więc przepisuję go z owego tomiku w całości:

SAMOTNOŚĆ

(Myśl Bajrona)

Kto myślą niespokojną wiecznie do gwiazd lata,
A sercem oderwany od ludzi i świata,
Uciekłszy na pustynie albo skał urwiska,
Pogląda jak z ich szczytu strumień w dół się ciska
Lub gdy go wyobraźnia ku niebu wybiła,
Za szybkim orła lotem chciwy wzrok posyła:
Taki nie jest samotnym. On mową milczenia
Toczy szczytne rozmowy z duchem przyrodzenia:

Ale kto otoczony towarzystwem ludzi,
Ich obłudą pogardza, pochlebstwem się nudzi,
I z własnemi myślami wieczne tocząc boje,
Niema serca, przed którem mógłby wylać swoje,
Niema istot, któreby z rajskiem uniesieniem
Mógł nazwać przyjaciela, kochanki imieniem:
Ten prawdziwie samotny!... Śród świata, a przecie
Wszystko, wszystko dla niego umarło na świecie!

Warszawa 1829.

Tomaszewicz, mając ten wiersz przed sobą, przepisał go, a dalej doklecił swoją „improwizację", jako satyrę na obyczaje towarzyskie w jego czasach akademickich. Oczywiście wydanie paryskie poezyj Gaszyńskiego nie mogło być Paradoksowi znane. Wątpię nawet, czy mógł je mieć już w ręku Tomaszewicz w r. 1845 w Wilnie. Wiersz był im znany z odpisu lub z któregoś pisma warszawskiego z r. 1829. Tem się tłumaczą różnice. Gaszyński bowiem w przedmowie do swego zbioru nadmienia, iż wiersze przed emigracją pisane, odtwarzał do zbioru z pamięci.

Z zestawienia utworu Gaszyńskiego z improwizacją, dodaną w Wilnie, uderza niewspółmierność nie tylko talentów, ale przedewszystkiem myśli. Ma rację prof. Cywiński, znajdując pokrewieństwo „improwizacji" Paradoksa z „Pająkiem" Dziekońskiego. Wiersz Gaszyńskiego (myśl Bajrona) ma krewnych większej miary, krewny jest „Improwizacji" Mickiewicza:

„Samotność! Cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?"

Są u Mickiewicza krewne Bajronowi gwiazdy, myśl ku niebu szybująca za orłem i „szczytne rozmowy z duchem przyrodzenia". „Samotność" krewna jest także „Romantyczności":

„Nie lubię świata,
Źle mnie w złych ludzi tłumie,
Płaczę, a oni szydzą;
Mówię, nikt nie rozumie;
Widzę, oni nie widzą!"

Romantyzm poetycki wielkiej rasy szybko karlał na gruncie ojczystym, użyty do potocznego użytku w stosunkach realnych. To też wielcy poeci, za głosem instynktu, odlatywali z nim do krajów cieplejszych, jak to czynią ptaki na zimę. Romantykom wogóle źle było w ludzi tłumie. Wśród obcych czuli się jak na pustyni, i to właśnie służyło romantyzmowi. On bowiem wymagał dla pełni swego rozwoju niekrępujących ducha jednostki przestworów, niebosiężnych wyżyn. Cieplarnia domowa tłumiła bujność osobistości.

Z. W.

[2]) „Autorowi Irydiona, przyjacielowi lat młodych, te kilka dźwięków serca mojego poświęcam".

Z PRZYRODY

(SERJA II)

OŚWIADCZYNY

O szarej godzinie
Chrząszcz brzmi w trzcinie:
— Nadobna chrząszczyczko,
Zwróć ku mnie swe liczko,
Słodka czekoladko,
Zechciej być mężatką,
Chyba pani nie zaprzeczy,
Że jestem chrząszczem do rzeczy,
Albom ja to jaki taki!
Śliczne mieć będziem pędraki!

ŻYCIE PSZCZÓŁ

— Hej, trutnie — rycerze,
Na bój w stratosferze,
Na wyścig z królewną o tron!
Kto z was mnie zdobędzie,
Ten mężem mym będzie,
Lecz po tem wnet czeka go zgon!

Bo podczas zachwytu
U nieba zenitu,
Gdy już go spłomieni mój żar,
W mych ramion objęciu,
W miłosnym napięciu
Swą męką zapłaci za dar!

con fuoco: Weselny lot,
Miłosny splot,
Królewski łup,
I z trutnia trup!

A zbrodni niesyta,
Okrutna kobiéta
Do jednej nowe przydaje
Jej damska drużyna
W pień mężczyzn wycina,
Sam ród niewieści zostaje.

I w pszczelim dziś dworze,
Jak w żeńskim klasztorze,
Ustały pląsy i śmiechy,
By zmazać czyn podły,
Wciąż praca i modły
I wciąż pokuta za grzechy.

Królową bez króla
Wsadzono do ula,
Gdzie brak i nieba i słońca,
I odtąd za karę
Ma życie wieść szare
I rodzić, rodzić bez końca!

PYCHA SZATAŃSKA

Wiążąc początek i koniec,
Ugryzł się w ogon zaskroniec.
— Patrzcie, jam symbol wieczności,
Niech mi pospólstwo zazdrości!
Czcij we mnie, narodzie ciemny,
Wcielenie mocy tajemnej:

A bocian zgóry spoziera:
— Wyraźnie widzę znak zera.
Ten obwarzanek, mój panie,
Zjem sobie dziś na śniadanie.

PIERWSZY ZAWÓD

Śliczny, czyściuteńki
Seterek maleńki,
Biały w czarne łatki,
Oczko w głowie matki:
(— Ach, jakiż podobny do tatki!
Ten mój kochany synek,
To istny kupidynek!)
Mały lord How — how
W piękny letni poranek
Wyszedł sobie na ganek.
Naiwnem, tkliwem spojrzeniem
Brata się z całem stworzeniem,
Świat chciałby tulić do łona,
Które rozpiera wzruszona
Miłością wezbrana dusza!
Na podbój świata więc rusza.

Pierwsze niewinne pieszczotki
Zwrócił do angorskiej kotki,
A ta, jak go pacnie w twarz:
A masz! a masz! a masz!
Potem do kury
Poszedł w konkury,
Głupia kura wnet
Dziobnęła go w grzbiet,
Tymczasem mucha
Wlazła mu do ucha,
A zła osa
Ukłóła go w czubek nosa,
I gdy łzy mu kapią z powiek,
Jeszcze go nadeptał człowiek!

Rozżalony, zniechęcony,
Do świata całkiem zrażony,
Mały lord How — how,
Widząc przeciwności same,
Wrócił do domu ssać mamę.

TOWARZYSTWO LEŚNE

Stoi dąb przy sośnie,
Każde sobie rośnie,
Jedno po dębowsku,
Drugie po sosowsku.

Jodła w krynolinie
Dziwi się brzezinie,
Co w jednej koszuli
Do klonu się tuli.

A słońce przez chmury
Patrzy na nie zgóry
I świeci im z nieba
Tyle, ile trzeba.

ARTUR CHOJECKI

NA WIDOWNI

Odezwa częstochowska. — Usprawiedliwiony postulat. — Względy religijne, historyczno-pamiątkowe oraz ochrony przyrody. — Rzecz powinna być załatwiona ustawowo. — Co stoi na przeszkodzie?

MAM przed oczami programową odezwę Listy Obozu Narodowego, ogłoszoną z okazji niedawnych wyborów do rady miejskiej w Częstochowie. Zasługuje ten program na uwagę już choćby z tej tylko racji, że za urzeczywistnieniem go opowiedziało się zgórą 12.000 wyborców (mimo, że w czterech okręgach na jedenaście narodowe listy uległy unieważnieniu przez komisję), podczas kiedy np. lista BB., korzystająca z wydatnego poparcia władz państwowych, osiągnęła zaledwie połowę tej cyfry głosów. Zasługuje tem więcej, że w Częstochowie ruch narodowy rekrutuje się w olbrzymiej większości z ludzi młodych, innemi słowy: z tych właśnie, do których z natury rzeczy należeć będzie przyszłość, jako do pokolenia, które nadchodzi. Przedewszystkiem atoli ważna jest sama treść odezwy, która, wysuwając postulat o charakterze miejscowym, porusza sprawę, posiadającą znaczenie ogólniejsze i ze wszech miar nadającą się do bliższego i bardziej szczegółowego jej rozpatrzenia.

Czytamy tam mianowicie co następuje:

„Jeszcze kilkadziesiąt lat temu żydzi żyli w ghetto na Starym Rynku, odgrodzeni drutem od chrześcijan. Trzeba uwolnić ustawowo Częstochowę od żydów! Niech choć jedno miasto — duchowa stolicę Polski, sławny w całym świecie gród Jasnej Góry — wolny będzie od żydów!“

Słuszność tak postawionego żądania rzuca się w oczy. Cokolwiek możnaby powiedzieć o żydostwie i jakkolwiek ocenia się jego wartość, nikt nie zaprzeczy, że żydzi — zwłaszcza liczniej zgromadzeni — wytwarzają pewną swoistą atmosferę, zgoła nie przypominającą tego, co określamy nazwą *„odor sanctitatis“*, atmosfery świętości, skupienia w duchu chrześcijańskim i t. d. Przyrodzona nerwowość żydów, ich hałaśliwa wielomówność nie stwarzają otoczenia, przygotowującego modlitewne wzniesienie duszy, i jeżeli — co jest rzeczą naturalną — pragniemy dać dookoła Jasnej Góry warunki, najodpowiedniejsze dla religijnych rozmyślań i przeżyć, zrozumiała jest chęć usunięcia z jej pobliża żywiołu, który przez swoją obcość i obojętność, w najlepszym razie staje się przyczyną niepokoju, roztargnienia, jako ton zupełnie niezestrojony z całością, zakłócający jej duchową harmonję.

Warto wszelako wskazać, że ten postulat, który ma już za sobą opinję większości polskich wyborców w Częstochowie, stanowi wzór dla skromnych może, lecz stosunkowo łatwo wykonalnych zarządzeń, które mogłyby się okazać nader praktyczne, nadewszystko w okresie przejściowym, dopóki kwestja żydowska w Polsce nie zostanie wpełni i ostatecznie rozstrzygnięta. Nim mianowicie, wskutek zmienionych warunków gospodarczych i prawnych, masy żydowskie przeniosą się z ziem Rzplitej do innych krajów, pożyteczne byłoby wyznaczenie paru bodaj uprzywilejowanych terenów, ustawowym przepisem zabezpieczonych przed zamieszkiwaniem ich przez element żydowski. Chodziłoby tutaj właśnie o miejscowości, specjalnie drogie nam ze względów religijnych lub historyczno-pamiątkowych, a także te, gdzie postacie żydów, jak również charakterystyczny ich sposób zachowania się, szczególnie przykre i nieestetyczne wywołują wrażenie w zestawieniu z otaczającym krajobrazem [1]). Kto oglądał np. wycieczkę młodych żydów, rozochoconych, gdzieś w okolicy Zawratu albo Orlej Perci, przyznać musi, że ochrona Tatr, ochrona przyrodzonego majestatu ich pejzażu, w tem położeniu wymaga działań energiczniejszych i bardziej zdecydowanych, niżeli nawet w sprawie kolejki elektrycznej na szczyt Czerwonych Wierchów.

Kładę nacisk — podobnie zresztą, jak przytoczona odezwa częstochowska — na załatwienie sprawy w drodze ustawowej, oczywistą jest bowiem rzeczą, że w tych dziedzinach ingerencja państwa, z właściwemi mu środkami nacisku i policyjnej kontroli, jest zarówno uzasadniona, jak skuteczna. Można nie mieć wiary w omnipotencję państwa, którą głoszą dziś u nas czynniki oficjalne, ale w każdym razie nie należy wątpić o jego... potencji, o tem naprzykład, że gdy chodzi o odżydzenie Polski, niezmiernie wiele da się osiągnąć przez odpowiednią reformę prawodawstwa, konsekwentną działalność administracji państwowej i t. p. Naiwnością, rzecz prosta, jest mniemanie, że państwo potrafi zrobić wszystko, że zdolne jest nawet zmusić ludzi do myślenia tego, czego nie myślą, pokochania tych, których nie kochają. W tym zakresie oddziaływanie państwa, z natury swej, może być jedynie pośrednie i ograniczone: niepowodzenia rozmaitych metod „wychowania państwowego“ dostatecznych pod tym względem dostarczają przykładów. Ale to, co zewnętrznego porządku dotyczy, jak chociażby zmuszenie pewnej części ludności do nie zamieszkiwania na pewnych, określonych zgóry terytorjach — jest najzupełniej dostępne władzy ustawodawczej i bez trudności może być dopilnowane przez policję czy inne powołane do tego urzędy.

Zapewne, można być przeciwnikiem takiej reformy z powodów zasadniczych, jeśli się jest wyznawcą doktryn Wielkiej Rewolucji Francuskiej, głoszących absolutną równość prawną wszystkich mieszkańców kraju, nie zważając na faktyczne, dzielące ich różnice. Mnie, osobiście, nie wydaje się zbyt dostojną taka idea, która w praktyce sprowadza się w tym wypadku do tego, że o prawie zamieszkiwania pewnych ludzi w pewnych połaciach kraju nie rozstrzygają zgoła jakiekolwiek względy wyższe: tradycji, estetyki i t. d., ale wyłącznie posiadanie dostatecznej ilości pieniędzy, aby się w danej miejscowości osiedlić.

W każdym razie jednak ta doktryna „powszechnej równości prawnej“ nie powinnaby stanowić przeszkody dla ludzi, którzy oddawna głoszą teorję dzierżenia rządów przez grupę uprzywilejowanej „elity“ i w myśl tych haseł przeprowadzić pragną reformę ustroju Rzplitej (np. projekt konstytucyjny BB. i zawarte w nim rozróżnienie dwu kategoryj obywateli: „Legjonu zasłużonych“

[1]) Pozostawiam opinji fachowców wojskowych, czy nie należałoby tutaj włączyć miejsc, ważnych pod względem strategicznym, jak również całego pasa pogranicznego (tu pożyteczne byłoby zdanie znawców spraw kontroli celnej) i t. d. Zresztą z postępem czasu i zmniejszaniem się odsetka ludności żydowskiej na ziemiach polskich, liczba tych uprzywilejowanych miejscowości, ustawowo „uwolnionych od żydów“, musiałaby się stopniowo powiększać, podobnie jak np. w średniowieczu, równocześnie z rozwojem cywilizacyjnym, wzrastała szybko ilość poszczególnych miast i ziem, obdarzanych swobodami i nadaniami.

i — reszty). Jeżeli pomiędzy Polakami, i w praktyce i w teorji, wprowadza się daleko sięgające różnice uprawnień (co przecież budzić może nader poważne zastrzeżenia), w imię czego nie rozróżniałoby się pod względem prawnym Polaka od żyda, gdy odmienność jest nieskończenie większa, dla każdego oczywista, na każdym kroku wymagająca uwzględnienia jej przez ustawodawstwo, jeśli ma ono pozostać w zgodzie z życiem, nie doprowadzać do najbardziej groteskowych paradoksów? A przecież — powracając do poruszonego, szczegółowego zagadnienia — jednym z tych paradoksów są niewątpliwie owe gromadnie spotykane typy wschodnie, azjatyckie, tak nie na miejscu wśród północnego krajobrazu nad Bałtykiem, pośród ciszy dolin tatrzańskich albo pod krzyżem na Giewoncie.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

ANTYSEMITYZM, JUDOFOBJA, CZY ODŻYDZENIE? Od pewnego czasu używają pisma żydowskie, a za niemi i niektóre polskie, wyrażenia „judofobja" w miejsce dawniej używanego „antysemityzmu". Wprowadzenie tego nowotworu językowego nie jest, zdaje mi się, przypadkowe, nie jest to tylko wzbogacenie mowy ludzkiej jednym synonimem. Bo i synonimy wykazują pewne, choćby słabe nieraz, odmiany w znaczeniu, albo w towarzyszących im uczuciach i nastrojach, jedne mają cechy naukowości, inne pospolitości, jedne są wytworne, salonowe, inne ordynarne, karczemne, bywają miłe i przykre, podniosłe i poniżające. Tak się rzecz ma i z przytoczonemi wyrazami, które nietylko w nastrojach, ale i w samej treści się różnią, a zastąpienie jednego drugim ma cele głębsze.

Antysemityzm niedwuznacznie mówi o przeciwstawieniu się semitom, treścią suponuje walkę z nimi, uczuciowo nastraja niechętnie, bojowo. Judofobja wyraża obawę, trwogę. Ale używający tego wyrazu nie myślą o trwodze żydów przed przeciwnikami, lecz przeciwnie, suggerują pozory, iż jest to obawa przed żydami. Używając tego słowa liczą żydzi na fakt znany z psychologji, iż dokoła pewnych słów tworzy się pewna melodja, pewna sfera skojarzeń i uczuć. Gdy wyraz taki wraz z towarzyszącemi mu skojarzeniami ponawia się, gdy pewne wyrażenia zakorzenią się w umyśle, budzą one pewne nastroje i może nawet dojść do tego, że do słów doszukuje się pojęć i treści, które tą drogą często się fałszuje. Tak samo uczucia ze słów przechodzą na przedmioty. A że uczucia wywierają wpływ nieraz decydujący na czyny, przeto znaczenie takiego podstawienia może być wcale poważne. Wszak chodzi tu o walkę, obojętna na jakim froncie i jakiemi środkami, a w walce nie jest wcale obojętne, jakie uczucia ożywiają walczących, czy wojownik nastawiony jest w kierunku przemożenia przeciwnika, czy naodwrót czuje przed nim lęk. Uczucia nieraz rozstrzygają o zwycięstwie, zwłaszcza u takich uczuciowych elementów, jak pospolity u nas typ sarmacki.

Oczywiście użycie wyrazu „judofobja" jest błędne, ale nie bez celu używane. Wprawdzie w pewnych wypadkach może rzeczywiście wystąpić lęk przed żydami. Gdy rodzice katoliccy unikają szkół, w których procent starozakonnych jest duży, jeśli protestują przed tem, by dzieci ich uczył i wychowywał żyd, to czynią to w obawie, by niewyrobione i słabe istoty nie uległy niepożądanym wpływom, boją się tych żywiołów tak, jak boją się zakaźnej choroby, przed którą wolą ochronić się, niż potem zwalczać. Ale jeśli wiejska spółka zwalcza lichwiarza, jeśli przez hasło „swój do swego" ruguje element obcy, jeśli wystąpią „ekscesy", walka fizyczna, „pogrom", nigdzie tam nie można mówić o obawie, trwodze, owszem właśnie dominuje poczucie pewności siebie, siły, przewagi, płonie wiara, wiara w zwycięstwo. Otóż właśnie wzbudzenie uczuć odmiennych, choćby drogą przemycenia pewnych określeń, ma na celu osłabienie tej wiary, a tem samem poważne zmniejszenie szans zwycięstwa.

Ale i słowo „antysemityzm", jakkolwiek lepiej rzecz oddaje, nie jest zupełnie trafne. Przedewszystkiem, wyrażając nastawienie wrogie, suggeruje uczucia ujemne: niechęci, nawet nienawiści, które całkiem nie są składnikiem istotnym, a owszem często są dodatkiem szkodliwym, przyćmiewającym jasność sądu i wybór właściwej drogi. Pozatem pojęcie „semityzmu" nie jest całkiem ścisłe, ma znaczenie bowiem lingwistyczne i obejmuje znacznie szersze zakresy (Arabowie). Z tego ostatniego względu także wyraz „asemityzm", trafniejszy wprawdzie, bo pozbawiony dodatków uczuciowych, przecież nie jest całkiem bez zarzutu. Najwłaściwszem wydaje mi się czysto polskie „odżydzenie", najbardziej ścisłe i dokładne, charakteryzujące istotę rzeczy, a wolne od jakichkolwiek, bałamucących dodatków pojęciowych lub skojarzeń uczuciowych.

ASYMILACJA NAODWRÓT. Głośne dawniej było u nas hasło asymilacji i zrobienia z żydów „Polaków mojżeszowego wyznania". Dziś hasło to ucichło nawet wśród „zasymilowanych", którzy uznali za praktyczne uzupełnić asymilację chrztem, albo przypomnieć sobie, że przecież są żydami o tylowiekowej historji. Oczywiście, zapewnia się o lojalności wobec państwa, współpracuje z rządem, gromi nawet za antypaństwowość niesfornych sarmatów. A równocześnie wyzyskuje się ich dobroduszność nietylko materjalnie, ale i duchowo, dążąc do zaszczepienia i rozplenienia własnej kultury, a zepchnięcia „*gojów*" do roli niewolników i naśladowców „wybranego narodu".

Tu chcę zwrócić uwagę na jeden drobiazg. W ostatnich czasach upowszechnia się moda nieużywania wielkich liter. Coraz więcej szyldów, zwłaszcza w stolicy, ale nawet w bardzo polskim Poznaniu, wypisanych wyłącznie minuskułami. Nietylko nazwa składu, ale nawet imię i nazwisko właściciela nie rozpoczyna się wielką literą. W ostatczasach nawet niektóre czasopisma akademickie polskie przyjmują tę modę czasowo lub stale w coraz większym zakresie.

Nie wszyscy zapewne zdają sobie sprawę, że i to jest poddawaniem się wpływom wschodu. Alfabet żydowski nie odróżnia liter małych i dużych z uwagi na formę, różnicuje tylko rozmiarami. Rzecz charakterystyczna, że tę ostatnią różnicę nowa moda utrzymuje, często nawet wprost nieestetycznie przejaskrawia. Ktoś usłużny będzie tę inowację uzasadniał względami praktycznemi, uproszczeniem nauki dzieci, które nie będą musiały uczyć

się podwójnych znaków o tem samem znaczeniu. Pomijając wartość estetyczną tej naszej rozmaitości, co przecie nie jest bez znaczenia w wychowaniu, dlaczego jednak ci „reformatorzy” utrzymują (nawet w szyldach) różnicę między formą druku antykwą a kursywą, co uznaje też pismo żydowskie? Dlaczego zmniejsza się wyrazistość, zalewa, jakby z niechlujstwa nieraz, owale, upodabnia odmienne litery? Czy w tem niema dążności do zbliżenia do hebrajszczyzny? Może jeszcze coś. Wielkie litery mają u nas znaczenie nietylko estetyczne, ale i intelektualne. Zaczynamy niemi imiona własne, nazwy narodów, miejscowości, instytucyj, świąt, tytuły urzędów, władz, zakładów, towarzystw, początkową literą wielką piszemy też we wszystkich wyrazach pospolitych, oznaczających osobę, do której wprost się zwracamy, lub której szacunek chcemy specjalnie podkreślić. Może chodzi o zatarcie tych różnic, zrazu w znaku, a z czasem w opinji, uczuciach...?

Sądzę, że należałoby przeciwdziałać tej modzie. Powinniśmy zachować naszą piękną, dawną tradycję, dzieci polskie są dość zdolne, by wyuczyć się podwójnego alfabetu. Same minuskuły niech zostaną w wydawnictwach i na sklepach żydowskich: owszem będzie to nawet pożądane, ułatwi realizację hasła „swój do swego”.

B.

SETNA ROCZNICA „PANA TADEUSZA“

ROSTWOROWSKI O „PANU TADEUSZU”

Rada miasta Krakowa urządziła uroczyste posiedzenie ku uczczeniu setnej rocznicy „Pana Tadeusza”. Na posiedzeniu tem radny miasta, znakomity dramaturg Karol Hubert Rostworowski wygłosił przemówienie, które poniżej przytaczamy w całości:

STO LAT temu literatura polska zdobyła artystyczną stratosferę, gdzie nawet zbiorowe wydania największych genjuszów świata nie mają dostępu, ale wyłącznie ich największe dzieła. Obok „Iljady”, „Boskiej Komedji”, „Hamleta” i „Fausta”, stanął „Pan Tadeusz” i to bynajmniej nie na pośledniem miejscu, ale jako równy wśród równych, a bodaj czy nie jako przodownik.

Posłuchajmy bowiem zagranicznych głosów, przytoczonych w znakomitej pracy prof. Pigonia:

„Genjusz artystyczny Mickiewicza” — pisze Anglik Noyes — „okazany w oddawaniu piękności poetyckiej rzeczy powszednich, jest nie do przewyższenia. Jeżeli zaś chodzi o rolę, jaką dzieło sztuki spełnia w narodzie, to pod względem mocy i ciągłości uroku żaden utwór Szekspira, Miltona, czy Tennysona nie może iść w porównanie z „Panem Tadeuszem”. Włoch Agosti Garosci nazywa „Pana Tadeusza” cudem twórczości, dzięki któremu poeta polski po wiekach zastoju epickiego, dał Europie nowoczesnej prawdziwą epopeję.

Wreszcie Niemiec Nadeer mówi: „*Dieses Gedicht, das einzig seiner Art ist, hat innerhalb der Deutschen Dichtung keines, das ihm nach Art und Rang entspreche*”.

Niech te trzy głosy wyręczą mnie w wyrażaniu moich identycznych przekonań, które, jako że jestem Polakiem, mogłyby uchodzić w oczach obcokrajowców za megalomanję, w oczach zaś młodzieży i nie młodzieży z obozu pana Millera za wstecznictwo i karygodną szlachetczyznę.

Podkreślam to ostatnie słowo, ponieważ jest ono dzisiaj główną przyczyną ataków na ideologję „Pana Tadeusza”. Zarzuca mu się sytość i tycie, warcholstwo, pieniactwo i prywatę. W imię szlachetczyzny na opak, głosi się uprzywilejowanie chłopa i robotnika, uderza się w stary tam tam Jana Jakóba Rousseau, a nie słysząc oddźwięku w historji szlacheckiej z r. 1811 i 12, uważa się ją za przestarzałą, ba, nawet za szkodliwą, gdyż usypia, zatruwa tanim optymizmem i zabija instynkt społeczny.

Tak sądzić mogą tylko ludzie, którzy chłopa i robotnika znają wyłącznie z książek lub z wakacyjnych wywczasów na świeżem powietrzu. Natomiast kto wychował się na wsi i od tej wsi nie odgradzał się murem wyższej inteligencji, ten w historji szlacheckiej z r. 1811 i 1812 widzi historję zarówno z r. 1200, jak i z r. 2200, widzi kanon naszego narodowego (nietylko szlacheckiego) charakteru, wraz z jego wadami i zaletami — ale kanon zbudowany na fundamencie zachodniej, nie wschodniej kultury.

Niema więc w „Panu Tadeuszu” samobiczowania, poczętego z bezradności, która wyradza się w nienawiść do rodaków — niema tej pancernej wieżycy, z której szczytu wali się granatami pogardy w szary tłum (w znacznej mierze niedożywionych) zjadaczy chleba, a która nie jest niczem innem, jak tylko przekonaniem autora o jego niebosiężnej wyższości. Niema tego zamiłowania do grzebania w duszy ludzkiej jedynie w tym celu, żeby doszukać się ułomności, nazwać ją plugastwem i jednem pociągnięciem pióra przekreślić wartość moralną nietylko przeciętnych, ale nawet wybitnych przedstawicieli rodzaju człowieczego, jednem słowem niema tego wschodniego maksymalizmu, który w pogoni za teoretyczną doskonałością znajduje ją tylko w świętych kryminalistach i świętych prostytutkach, a przez raj na ziemi rozumie zamienienie ludzkości w olbrzymiego robota, otoczonego na wszelki wypadek, pierścieniem karabinów maszynowych.

Tego wszystkiego niema, ale za to jest coś więcej. Jest prawdziwa mądrość i prawdziwe serce. Prawdziwa mądrość sprawiła, że ani jeden bohater „Pana Tadeusza” nie jest bez winy, więc nie jest nadczłowiekiem, prawdziwe serce zaś sprawiło, że żaden z nich nie został zdegradowany do rzędu czworonogów, które, mówiąc stylem biblijnym, nie przeżuwają, a rozdzielone mają kopyto. Mickiewicz swój naród zna i — kochał — Dlatego jego Soplicowo, jego zaścianki wciąż żyją i żyć będą nie na papierze, ale w naszych polskich wsiach, gdzie znajdziesz jak wszędzie i we wszystkich klasach — i zbrodnię i świętość, i pychę i pokorę, i prywatę i poświęcenie, i chamstwo i przedziwny arystokratyzm ducha, i głupotę i rozum, i pieniactwo i wspaniałomyślność, i warcholstwo i solidarne braterstwo broni w obliczu wroga—słowem Polaka, jakim był, jakim jest i będzie dopóki się nie wynarodowi i dopóki *in articulo mortis* ojczyzny, nie przestanie powtarzać za Soplicą umierając tylko jedno słowo:

„Szabel nam nie zabraknie, naród na koń wsiędzie
Ja z synowcem na czele i? — jakoś to będzie.”

Ironja? — Tak, ironja, ale zakończona słowami:

„O polska krwi! Zawołał Bernardyn wzruszony
Z otwartemi skoczywszy na sędzie ramiony”.

A zakończona temi słowami, ponieważ Mickiewicz wiedział, że w naszem polskiem „jakoś to będzie”, brak wrodzonych zdolności organizacyjnych zastąpiony jest przez patrjotyzm, który góry przenosi, który po stu latach niewoli i po sześciu latach wojny potrafi, prawie że jednym tchem, zbudować z niczego potężne państwo i pomimo nieuniknionych starć, potrafi stanąć ramię przy ramieniu do Poloneza, którego tytułem nie są „*les adieu à la Patrie*”, ale pożegnanie słabości i niewoli.

Mickiewicz to wiedział, a co sercem wyczuł, przy czem zawsze duchem „był”— to umieścił „w te księgi proste jako ich piosenki”, piosenki „wieśniaczek” kręcących „kołowrotki”.

W tych kilku słowach mieści się samowiedza artysty, który wie, jakim kosztem dochodzi się do prostej, naprawdę prostej prostoty.

Zapłacił za nią drogo.

I stara i młoda Polska — stara, przeżarta neoklasycyzmem, młoda zaś, powiedziałbym, neoromantyzmem, znajdującym swój wyraz w haśle „sztuka dla sztuki" obie zarzucały „Panu Tadeuszowi" pospolitość lub „łatwiznę", stara w imię niezbędnego patosu i koturnu, młoda zaś w imię tęczowości słowa, w której celował Słowacki. Do chóru tej ostatniej dołączałem i mój głos.

Raziły nas „tanie rymy, gadulstwo Wojskiego i Sędziego, szablonowość Telimeny, gąskowatość Zosi, tasiemcowatość sporu Asesora z Rejentem", a ponieważ byliśmy rzeczywiście młodzi, a młódź żyje więcej wyobraźnią, niż rzeczywistością i „lubi zagadki", przeto nęciły nas blaski formalne „Króla — Ducha", i to tembardziej, im trudniej było dotrzeć do treści. Ciemne, więc głębokie — głębokie, więc wymagające naszych objaśnień, więc nasze. A „Pan Tadeusz"? Nie można było nim po swojemu kierować, trzeba go było ślepo słuchać, więc „za jasny, za płaski, za nudny".

I tak, zaprawdę nie wiedząc, co czynimy, klepaliśmy po ramienia największy wysiłek artystyczny, największą sztukę „dla życia", a jednocześnie i „dla sztuki", największą głębię uczuć, którym „droższy niż laur Kapitolu, wianek rękami wieśniaczki osnuty z modrych bławatków i zielonej ruty". Klepaliśmy po ramieniu, dopóki „wiek męski", po największej części i „wiek klęski", nie poklepał po ramieniu — nas. I kluczem osobistych przeżyć (głębszej natury) nie otworzył przed nami sezamu mickiewiczowskiej skarbnicy, gdzie obok bezcennych klejnotów treści ujrzelibyśmy i bezcenne klejnoty formy.

Z Mickiewicza, twórcy porozbiorowego patrjotyzmu, przeszedłem rozmyślnie na Mickiewicza, twórcę po-pseudoklasycznej prostoty i prawdy, co przed zmartwychstaniem naszej ojczyzny byłoby uznane za przewrócenie do góry nogami hierarchji mickiewiczowskich zasług. Tymczasem tak nie jest. Mówić wielkie rzeczy potrafi nawet „mały człowiek". Nazywa się to „frazesem". Ale żeby przeciętnych ludzi porwać tylko słowem, żeby z nich wykrzesać bohaterów, żeby pokazać im majestat ofiary i cierpienia, żeby naprawdę uczynić z nich „aniołów", na to trzeba być nietylko genjalnym człowiekiem, ale i genjalnym artystą i jeszcze raz artystą.

Mickiewicz był i jednem i drugiem. Dlatego jak „Pan", wiodący Izraela do ziemi obiecanej, szedł przed nim pod postacią białego obłoku, nocą zaś pod postacią słupa ognistego, tak genjusz Mickiewicza szedł dniem i nocą przed naszym narodem, prowadząc go przez czerwone morze krwi męczeńskiej i śniegi sybirskie do obiecanej wolności.

A dzisiaj? — Dzisiaj prowadzi nas do potęgi, albowiem złożył w sercach naszych — w tej arce przymierza między dawnemi i młodszemi laty — dzieło, które uczy nas przebaczać dawne grzechy, miłować i pielęgnować dawne cnoty, strzec obyczaju, języka i wiary ojców naszych, ażebyśmy na żyznej glebie przeszłości mogli zasiać „nowe lata" i zebrać obfity plon jedności narodowej i tężyzny.

Przeto nie spuszczajmy go z oka, pomni, że on i Ojczyzna — to jedno.

*

W 100-ną rocznicę „Pana Tadeusza" odbędzie się wielki obchód w Paryżu w dniach 14 — 17 czerwca r. b. Na uroczystość tę warszawska Akademja Literatury wysyła czterech członków: Wacława Sieroszewskiego, Kadena-Bandrowskiego, Zenona Przesmyckiego i J. l. Kleinera.

Dnia 14 b. m. nastąpi odsłonięcie tablicy pamiątkowej, wmurowanej w domu na rue de la Seine, w którym mieszkał twórca „Pana Tadeusza". W czasie uroczystości wygłoszą przemówienia: ambasador R. P. Chłapowski, prezes rady miejskiej Paryża Fiquet, członek Instytutu prof. Fortunat Strowski oraz Kaden-Bandrowski. O godz. 17-ej prof. Kleiner wygłosi odczyt p. t. „*Mickiewicz et son epopée nationale*". O godz. 20.30 odbędzie się uroczyste posiedzenie Bibljoteki Polskiej, na którem przemawiać będą Sieroszewski i Kaden-Bandrowski.

Dnia 15 czerwca odbędzie się w obecności prezydenta republiki w *College de France* uroczyste posiedzenie pod przewodnictwem ambasadora R. P. Chłapowskiego. Przemówienia wygłoszą: ambasador Chłapowski, Joseph Bedier, René Doumic, prof. Andre Mazon i Przesmycki.

Dnia 16 czerwca przed południem delegacja polska uda się na cmentarz Montmorency, na którym pochowany był Mickiewicz. Wieczorem tegoż dnia odbędzie się zebranie w Bibljotece Polskiej.

Dnia 17 b. m. dla szerokich sfer kolonji polskiej będzie wyświetlony film p. t. „Pan Tadeusz", poprzedzony przemówieniem Kaden-Bandrowskiego.

*

W księgarnich paryskich ukazał się „Pan Tadeusz" w przekładzie dokonanym przez świetnego pisarza i znawcę literatury polskiej, Paul Cazin'a. Przedmowę, pełną entuzjazmu dla arcydzieła Mickiewicza, napisał minister Barthou, który wyraża opinję, że blisko jest moment, w którym „Pan Tadeusz" zostanie uznany przez cały świat kulturalny za największe arcydzieło literatury światowej.

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wybitny myśliciel, doc. uniw. Jagiellońskiego X. Dr. Andrzej Krzesiński wydał obecnie bardzo interesującą książkę p. t. „Kultura nowoczesna i jej tragizm" (Warszawa — Kraków 1934. Str. 161. Cena 5 zł.).

Pojawia się ona w czasie, kiedy o kulturze nowoczesnej i jej obecnym stanie wypowiadane są zapatrywania skrajnie pessymistyczne. Autor podejmuje zagadnienie ze stanowiska filozoficznego. Ułatwia czytanie książki staranny język i piękny, potoczysty styl. Autor, przeciwstawiając się mętnym poglądom na kulturę i cywilizację, poddaje te pojęcia ścisłej analizie, ustala ich znaczenie, określa je i oznacza ich wzajemny stosunek.

Wyróżnia dokładnie w nowoczesnej kulturze dwutorowość ze względu na dwie kultury, jakie w niej występują: kulturę tradycyjną, czyli chrześcijańską i kulturę antytradycyjną, czyli materjalistyczną. Charakteryzując te dwie kultury, ułatwia zrozumienie ich istotnej różnicy. W szczególności zajmuje się kulturą materjalistyczną i omawia szczegółowo jej cechy charakterystyczne. Czyni to systematycznie i zupełnie oryginalnie, nie mając żadnego wzoru przed sobą, gdyż jakkolwiek o kulturze nowoczesnej wiele się pisze, to jednak o jej cechach mówi się przygodnie i bez stosowania jakiegoś systemu. Podział cech przeprowadza autor według stosunku człowieka nowoczesnego do niego samego, według stosunku jego do rzeczywistości, według jego ideałów i ze względu na stan jego psychiczny i na jego usposobienie.

Wykazując tragizm nowoczesnej kultury materjalistycznej, autor nie poddaje się pessymizmowi, lecz przeciwnie, uzasadnia jego bezpodstawność i wykazuje, iż należy optymistycznie patrzeć w przyszłość. Punktów zaczepnych dostarcza mu zarówno obecny stan kultury materjalistycznej, świadczący o całkowitem bankructwie jej zasad i ideałów, jak i wspaniały rozwój kultury chrześcijańskiej, w szczególności zaś katolickiej. Wskazuje przytem autor na zdolność odradzania się narodów i na urzeczywistnianie się w ich życiu myśli Bożej. O pięknej tej książce napiszemy jeszcze obszerniej.

*

Ukazała się z druku, zapowiadana już poprzednio, książka Jędrzeja Giertycha p. t. „Za północnym kordonem (Prusy Wschodnie)". Do książki dołączona jest barwna mapka.

Na prośbę autora zawiadamiamy naszych Czytelników, że osobom, które zgóry uiściły przedpłatę, w tych dniach będą rozesłane egzemplarze, wydane na lepszym papierze.— Wobec otrzymywanych zapytań, dlaczego mimo wniesienia przedpłaty, książka dotąd nie została wysłana, wyjaśniamy, że z powodu trudności natury pieniężnej, druk książki ukończony został dopiero w dniu 9 czerwca.

*

Ostatni zeszyt „Spraw Narodowościowych", wydaw. Instytutu Badań Spraw Narodowościowych, zawiera

między innemi przyczynek w zakresie badań nad historją żydów w Polsce, a mianowicie pracę Dr. E. Ringelbluma p. t. „Projekty i próby przewarstwowienia żydów w epoce stanisławowskiej” (część pierwsza). Praca ta, napisana przez żyda, cenna jest dla poznania stanowiska żydowskiego w omawianych w niej sprawach.

ZE ŚWIATA SZTUKI

DZIĘKI współpracy Instytutu Francuskiego w Warszawie, w salach Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej (przy ul. Koszykowej) została zorganizowana wystawa współczesnej architektury francuskiej. Uwzględniono tylko dzieła już wykonane, wystawiając paręset zdjęć fotograficznych, wyobrażających prace około 50 architektów francuskich, z ostatniego piętnastolecia. W pokazie tym nie chciano wysuwać na czoło jakiejś grupy specjalnie, starając się nadać całości charakter informacji objektywnej i możliwie wszechstronnej. Nie zapomniano także o urbanistyce kolonjalnej.

Wraz z wystawą zawitał do Warszawy gość, profesor Francastel i wygłosił tu odczyt. Zresztą nie był on jedynym, gdyż, w związku z pokazem, Wydział Architektury zorganizował cykl odczytów, na których zabierali głos również nasi wybitni specjaliści, architekci, a także historycy sztuki. Odczyty były połączone z obszerną i — mojem zdaniem — również pożyteczną, jak wystawa, dyskusją. Tu należy zanotować nader i ciekawe i dodatnie zjawisko. Oto organizatorzy obawiali się, iż wybrana na odczyty najmniejsza sala Wydziału będzie w połowie świeciła pustkami, tymczasem zbrakło miejsca (ludzie stali w przejściu) w największej sali wydziałowej. Czemu przypisać to zainteresowanie, gdy jednocześnie wiemy, że na wielu odczytach, urządzanych przez IPS, były „puchy”?

Mimo powierzchownego mniemania, które sądzi inaczej, zagadnienia architektury, naturalnie poza sprawami natury zbyt specjalnej, zawsze są interesujące i żywotne dla inteligentnego ogółu. Ze wszystkich sztuk, architektura jest właśnie tą najbliższą ciału koszulą. Ze wszystkich artystów, jak twierdzi prof. Francastel, najbardziej skrępowany jest architekt, gdyż nie wykonywa bezpośrednio swego dzieła, ma do czynienia z materjałami, które niezawsze poddają się samoistnej wyobraźni twórcy, podlega woli swego pracodawcy i musi liczyć się, bardziej niż inni, z upodobaniami i opinją swojej epoki. Tak, ale jednocześnie architekt może się uważać za najszczęśliwszego z artystów, gdyż nieodzowność jego pracy jest najbardziej oczywista, jej pożytek najżywiej odczuwany. Pozatem dzieła architektury mają najszerszy zasięg oddziaływania, widoczne wszystkim, mogą wpływać na urabianie upodobań artystycznych w takim stopniu, jak żaden inny twór plastyki. Powróćmy do niezmiernie interesujących zagadnień, poruszanych w odczytach i dyskusjach. Przy omawianiu walorów architektury współczesnej wspominano oczywiście nieraz architekturę doby poprzedniej. Tu wyłoniła się kwestja winy historji sztuki i chęć określenia rozmiarów tej winy. Historja bowiem, wykazując doskonałość stylów epok ubiegłych, suggerowała niejako architektom myśl, że dość sięgnąć do tego skarbca, by stworzyć, w sposób niezawodny, dobrą budowlę. Ten pogląd właśnie doprowadził do tej niezliczonej ilości kompilacyj, w jakie obfituje najsmutniejszy dla architektury okres czasu: druga połowa XIX-go stulecia.

W związku z rolą historji sztuki, jeden z prelegentów, dyr. Lauterbach, podkreślił, że ta historja sztuki jest jedyną z pośrod innych, gdyż jej fakty, choć są dziełem przeszłości, trwają do dziś, w postaci zabytków plastyki. Pogląd ten spotkał się ze słusznym sprzeciwem jednego z architektów, który twierdził, że dzieła sztuki nie można traktować jako faktu. Faktem było ono w chwili powstawania, jako wyraz dążeń i upodobań mu współczesnych; przez każde z następnych pokoleń widziane, rozumiane i odczuwane inaczej, stawało się ciągle czemś innem. Dzieło sztuki istnieje więc tylko jako dokument faktu, który kiedyś miał miejsce. W tym sensie dzisiejszy ustrój socjalny jakiegoś państwa może również być uważany za dokument przemian (np. rewolucji), które w nim się kiedyś odbyły. Powracając do kwestji winy historji, trzeba powiedzieć, że i sami architekci nie są bez grzechu. Gdyby pojmowali historję mniej powierzchownie, nietylko od strony zdobin (elewacji), ale bardziej wewnętrznie, od strony idei każdego stylu historycznego, uniknęliby budowy tylu dzieł poronionych i karykaturalnych w swej pretensjonalności. Bowiem zrozumienie idei każdego stylu, pozwala na budowę dzieła w myśl tej idei, bez niewolniczego małpowania pewnych jego cech zewnętrznych. Przykłady można znaleźć na tej wystawie. Są tam fotografje budowli z ducha gotyku wyprowadzonych, choć jednocześnie wcale nie imitują znanych zabytków tej epoki.

Rozwój nowoczesnej architektury wiąże się z wprowadzeniem do budownictwa żelbetonu. Łącznie z tem powstaje jednak nowe niebezpieczeństwo. Właściwości materjału i konstrukcji zdają się suggerować architektom, że cała tajemnica twórczości tu się mieści. Że one właśnie, te cechy materjału i konstrukcji mają (same?) tworzyć styl. Przeciwko takiemu materjalizmowi architektury wystąpił prof. Lalewicz. Pokazał dwie budowle nowoczesne, z tego samego żelbetonu: jedną — niemiecką, drugą — wieżę architekta francuskiego. Dwa dzieła — dwa odrębne światy. Więc materjał to jeszcze nie wszystko. Gdyby tak było, toby wszystkie krzesełka musiały wyglądać jednakowo, bo przecież wszystkie są.... z drzewa.

Przykład wież był pouczający. Czy istnieje u nas także budowla nowoczesna, o tak wyraźnych znamionach narodowych, — niech na to pytanie odpowiedzą architekci.

Architekci budują dla ludzi; może to wyda się paradoksem, iż jeden z nich musiał kolegom o tem przypomnieć. Powiedział: nasze dzieła są nieraz logiczne, dobre, rozumne, konstrukcyjne. Uwzględniają wszystko: materjał, konstrukcję, kalkulację. Zapominają tylko o... człowieku, który w tych domach ma mieszkać. Jaki to człowiek i jakiego on chce mieszkania? Czy, zmęczony i poważny, pragnie spokoju i zaciszności, czy może, przygnębiony, chce mieć mieszkanie wesołe? kim jest, czy lekarzem, adwokatem, lub inżynierem, może urzędnikiem, albo robociarzem? Architekci, pamiętajcie o tem! Nietylko, żeby dla robotnika — tanio, a dla doktora — drożej.

WIKTOR PODOSKI

ZMARLI

Ś. P. JAN ZYDLER

ZMARŁ w Warszawie powszechnie ceniony i zasłużony pedagog ś. p. Jan Zydler.

Urodzony w Kieleckiem, w Kielcach ukończył gimnazjum 50 lat temu, w r. 1884. W r. 1888 ukończył wydział matematyczny na uniwersytecie warszawskim. Od r. 1890 pracował w Warszawie jako nauczyciel w szkołach średnich prywatnych. Po wojnie zajmował szereg lat stanowisko dyrektora gimnazjum męskiego im. Staszica i stąd przed kilku laty przeszedł na emeryturę. Przez parę lat potem był kierownikiem prywatnej szkoły w Milanówku. Po utracie żony, znanej w literaturze z licznych przekładów beletrystycznych, pędził w Warszawie żywot samotny. Przed paru dniami jeszcze widzieliśmy go w gronie przyjaciół, jak zawsze pogodnego i zrównoważonego. Nic nie zapowiadało tak rychłego końca.

Ś. p. Jan Zydler działalność swoją pedagogiczną rozszerzył poza krąg swojej szkoły, wydając znakomite podręczniki szkolne. Jego „Geometrja w zakresie szkoły średniej", coraz doskonalona, doczekała się 16 wydań. „Zarys geometrji analitycznej", później opracowany, trzykrotnie już był wydany. Nie było chyba szkoły, gdzieby tych podręczników nie używano. Postawiły one ś. p. Zydlera w rzędzie najlepszych popularyzatorów wiedzy matematycznej.

Całe swoje życie zamknął w kręgu żmudnej pracy, bez urozmaiceń i głośnych występów, nie opuszczając Warszawy. Każdy jednak, kto go znał, czuł w nim człowieka dużej miary, któryby starczył na bardziej odpowiedzialne zadania społeczne. Zawód swój kochał i wysoko stawiał. Uczyły się u niego pokolenia nie tylko geometrji, ale i człowieczeństwa, patrząc na jego charakter. Udzielała się od tego pedagoga mądrość i prawość.

Jak dawniej przed wojną, tak i teraz, gdy przekonania narodowe wadziły w karjerze szkolnej, ś. p. Zydler ani kroku nie zboczył z linji politycznej, którą obrał w młodości, jako wszechpolak, demokrata narodowy i nacjonalista. Powszechną też cieszyła się sympatją postać człowieka, nie skażonego oportunizmem.

Chlubą był kolegów, którzy w stowarzyszeniu swojem (pod nazwą „Koła Kielczan") stawiali go zawsze między przodownikami. Od r. 1924 był stale członkiem zarządu Koła i jego wiceprezesem. Szanowano go wszędzie i kochano. Niezliczone szeregi uczniów przekażą tradycji na długie czasy pamięć o tej jasnej postaci ojca-wychowawcy. Wielka to strata dla społeczeństwa śmierć tego typu człowieka. To też wieść o zejściu ze świata ś. p. Jana Zydlera okrywa nas ciężką żałobą.

Niech spoczywa w pokoju!

W.

OD ADMINISTRACJI

Zawiadamiamy naszych prenumeratorów w Warszawie, że z powodu okresu wakacyjnego, jak w roku ubiegłym tak i w bieżącym, inkasowanie prenumeraty na kwartał trzeci rozpoczniemy 20 czerwca.

Szanownych Czytelników naszego pisma, którzy wcześniej wyjeżdżają ze stolicy, prosimy o przekazanie należności za pośrednictwem P. K. O., Nr. konto 3105.

OFENSYWA

CHWISTEK I CHŁYSTKI

CO TE PRZEMIŁE Gebethnery wyprawiają, to doprawdy świat się kończy. Jakby już całkiem zapomnieli o przysłowiu: nie każdej brzytwy tonący się chwyta. Ten pomysł z kramem przed firmą, na trotuarze, a na kramie nowości sezonowe na wyjazd letni, no to jeszcze ujdzie. Trudno. Trzeba wreszcie zejść aż na ulicę naprzeciw klienteli, jeżeli ta klientela w Polsce tak zbiedniała i znędzniała, że poprostu wstydzi się wchodzić do solidnej *ex*-patrycjuszowskiej księgarni, żeby zakupić jakąś książczynę za 3 złote. Więc na ten pomysł zgoda. Owszem.

Ale te różne nowe wydawnictwa, ta „polityka" wydawnicza, no i ten „Tygodnik Illustrowany"! Kto pamięta antenatów firmy, kto tam zachodził do gabinetu na parterze na pogadanki z panami Wolffami i ze ś. p. Gebethnerem ojcem, ten nie może nie wtrącić swoich d w ó c h groszy w tę sprawę, aby skarcić już niemożliwe dywagacje i jakieś niezrozumiałe zygzaki i ekscen-tricki.

Mamy tu na myśli komunistyczną propagandę w ostatnim „Tygodniku", w artykule pióra jakiegoś Włodzimierza Fiszera oraz broszurę Leona Chwistka p. t.: „Zagadnienia kultury duchowej w Polsce", wydaną nakładem tejże firmy.

W prześwietleniu nowego (setnego) potknięcia się i gaffy „Tygodnika Illustrowanego" wyręczył nas ni mniej ni więcej tylko... „Kurjer Poranny". Nawet temu organowi antyrzymsko-rzymowskiemu tym razem poszło nie w smak kukułcze jajo, złożone w „Tygodniku" przez tajemnego p. Fiszera. Tak chytra i przebiegła propaganda na kolumnach ongiś katolickiego i burżuazyjnego pisma zirytowała nawet zezujący ku nowym przewrotom „Kurjer Poranny". W artykule p. t.: „Makabryczne argumenty" demaskuje „Kurjer Poranny" bolszewika w baraniej skórze na łamach ofensywnie masonizującego „Tygodnika". Towarzysz Fiszer udaje bowiem, że składa hołdy tradycji, religji i kapitalizmowi, insynuując trzódce czytelników, że to wszystko odradza się *(sic)* w Bolszewji w nowym, imponującym kształcie. Sofista Fiszer w swej apologji imperjum Kaganowiczów (Kałmanowiczów, Sobelsohnów, Wallachów) stawia tezę, że wszyscy muszą przyznać Bolszewikom trzy zasługi:

„Pierwszą jest obudzenie przywiązania do własności *(sic!)*, drugą obudzenie dążenia do uzdrowienia rodziny, która w Rosji przed rewolucją objawiała cechy rozkładu *(sic)*; trzecią wreszcie jest obudzenie żywego uczucia religijnego, które też zanikało w społeczeństwie rosyjskiem" *(sic)*.

Ponieważ to jest drukowane w „Tygodniku Illustrowanym" a więc w czasopiśmie o „ziemiańsko-zachowawczym charakterze" *(sic!)* jak kombinuje naiwnie krytyk propagandy W. Fiszera w „Kurjerze Porannym", przeto intencją tegoż W. Fiszera była chyba apologja o d r o d z e n i a (religji, tradycji, kapitalizmu), może tylko pośrednia, naciągana, sztuczna, w każdym razie chyba nie zachęta i kuszenie Sarmatów („ziemiańsko-zachowawczych") do takiej rewolucji, któraby i w Polsce „odrodziła", o k t i a b r y c z n ą metodą, religję, kapitalizm, tradycje. Otóż taka i n t e n c j a nawet wedle radykała z „Kurjera Porannego" jest wartości wątpliwej i obosiecznej... I oto jak organ radykalnych Bebewuerów apostrofuje komunizujące zapędy w „Tygodniku Illustrowanym":

„Wybucha rewolucja i — zdaniem p. Fiszera — wszystko odmieniło się na lepsze. Wypędzono z majątków ich właścicieli — i oto własność staje się nowem źródłem energji ludzkiej; wyrżnięto lub rozpędzono duchowieństwo — i wnet religja się odradza; rodzinę wyjęto spod sankcyj kościelnych i spod rachub finansowo-matrymonjalnych, — i związki rodzinne nabierają powagi i trwałości. Pomijamy już kwestję, czy to, co się „odradza" w Bolszewji, jest dokładnie tem samem, co uprzednio było w niej skazane na zagładę. Wszyscy ci, którzy wracają z Rosji sowieckiej, przynoszą świadectwa wręcz przeciwne. Ani religja, która rodzi się nad sarkofagiem Lenina, nie jest regeneracją religji dawnej, ani własność, torująca sobie drogę w ramach gospodarki kolektywnej, nie ma nic wspólnego z własnością w ustroju kapitalistycznym, ani rodzina bolszewicka nie jest powrotem do poprzednich form matrymonjalnych".

Teza i argumenty p. W. Fiszera w każdym razie „mijają się z celem". Chyba (dodajmy od siebie), że ten, co zniósł to kukułcze komunistyczne jajo w sędziwym (75 lat) piśmie miał istotnie intencję przeobrażenia „Tygodnika" w jaczejkę kominternoską...

Zachęcić go do tego kawału mogło wydanie przez starą firmę broszurki lwowskiego profesora czy docenta uniwersytetu, wykładającego w *„Johannis - Casimiris"* logikę matematyczną. Autor: Leon Chwistek. Broszura nosi tytuł „Zagadnienia kultury duchowej". Profesor logiki matematycznej w ankiecie „Wiadomości Literackich" o stosunku pisarzy naszych do Sowietów wypowiedział się całkiem prosowiecko.

W odpowiedzi było takie zdanie:

„Powinniśmy tylko załatwić się z niepotrzebnemi uprzedzeniami, opartemi przeważnie na ordynarnych oszczerstwach i zlikwidować przesąd o barbarzyństwie wschodniem".

Otóż broszura p. Chwistka jak też i jego artykuły w „Pionie" wykazują jasno, że o Wschodzie i wschodnich problemach nie wiele ma pojęcia. Kiedyś podobno odkryto w nim talent malarski i w Krakowie p. Chwistek pacykował moc portretów, które robiły furorę w Ateńskiej Abderze, aż wreszcie w ostatnich latach zaczęły raptownie wędrować na strychy, do ciemnych przedpokojów i do antykwarjatów. Emerytowany i zlikwidowany futurysta przerzucił się na estetykę i filozofję. Jakiś czas w kilku kawiarniach przy kilku stolikach wierzono w posłannictwo dr. Chwistka. Poczem nawet chłystki już znudziły się temi chwistkowemi wydziwianiami nad barbarzyństwem rodaków. Esteta, a gwarzy po prostacku i wulgarnie.

Jako próbki poziomu, pionu, prostoty, stylu lwowskiego profesora przytaczamy:

„Trzeba koniecznie, żeby u nas rozwijała się literatura i sztuki piękne, filozofja, matematyka, fizyka i medycyna, trzeba, żeby kwitnęły nauki przyrodnicze, nauki humanistyczne, handlowe i gospodarskie. Trzeba, żeby cały ten...

Indywidualizm przedwojenny jest karykaturą taką samą, jak wszystkie hasła, na których oparta była ówczesna kultura. Wszystko to musi być przeanalizowane i przetrawione do gruntu. Praca ta dokonywana być musi...

Praca ta utrudniona jest tem bardziej, że zamaskowane bagniska przedwojennego kwietyzmu, wypuściły po wojnie zatrute i cuchnące opary, które skrystalizowały się w teorje kłamliwe i bezczelne...

Musimy przeciwstawić się przedwojennym teorjom estetycznym, które starały się narzucić nam arystokratyczną koncepcję sztuki i zarezerwować sztukę dla wybranych genjuszów, którzy związani mieli być raz na zawsze z pewnem środowiskiem, z reguły zupełnie nam obcem i dalekiem...

Jeśli przedstawiciele literatury, sztuki i nauki zrozumieją to swoje posłannictwo, to przyczynią się bardzo poważnie do naprawy ustroju społecznego i nikt nie odważy się patrzeć na nich zgóry, ani też uważać ich za bezużyteczne przeżytki *ancien regime*'u".

Dłużej rozwodzić się nad tym Bogu ducha winnym człowiekiem, mającym najszlachetniejsze i najwznioślejsze zamiary, zdaje się, byłoby właściwie stratą czasu. Niestety, „t r z e b a". Ten oto bowiem jegomość, rozgoryczony na Arjów (barbarzyńców) w przystępie bolszewickich ciągot i inklinacyj popełnił sobie broszurę, apelując od goyim do Chazarim. Może oni poznają się na człowieku, „rwącym się do pracy umysłowej", któremu „raz już udało się dotrzeć do wyżyn kultury duchowej".

Najpierw tedy w publikacji lwowskiego oddziału Towarzystwa Przyjaciół Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie zamieścił podchlebczą klasówkę o „roli żydów w kulturze współczesnej", a potem zachęcony (pod-jud-zony) przez swój stolik kawiarniany, napisał całą broszurę o „kulturze duchowej" w Polsce.

Chwali Chwistka za to nowe dzieło z punktualnym pośpiechem p. Jakób Bleiberg w „Naszym Przeglądzie":

„W ostrych i dobitnych słowach atakuje Chwistek demagogiczną frazeologję naszych antysemitów, wykazując całą jej bezsensowność i niedorzeczność. Rolę żydów, jako współtwórców polskiej kultury duchowej wogóle, a filozoficznej w szczególności, uważa za niezwykle pożyteczną i zapładniającą. Wyostrzony krytycyzm żydów, ich „niepokojąca" łatwość w stawianiu i rozwiązywaniu zagadnień jest, jego zdaniem, owym niezbędnym fermentem, wnoszącym element dyskusji, walki i współzadownictwa, bez czego wogóle niema postępu w żadnej dziedzinie twórczości ludzkiej. „Czystość ducha na wyżynach kultury jest identyczna z atmosferą prowincji". Wprowadzenie pierwiastków walki klasowej lub narodowej do spraw ducha piętnuje jako „pospolite chamstwo", wyrządzające niepowetowaną szkodę polskiej kulturze i kompromitujące ją w opinji świata cywilizowanego. Od szeregu bowiem lat odbywa się u nas masowa wędrówka najwybitniejszych umysłów żydowskich zagranicę, gdzie się chętnie przyjmuje tych „szkodników" i „pasożytów", udzielając im stanowisk i zaszczytów. Jako przykład przytacza Chwistek zmarłego niedawno w Paryżu wybitnego filozofa, Emila Meyersona, lubelskiego żyda, który już dziś należy do panteonu filozofji francuskiej. Chwistek utrzymuje, że gdyby Meyerson tworzył w Polsce, „wzbudziłby zainteresowanie w Europie naszą filozofją i tem samem przestalibyśmy figurować w podręcznikach zagranicznych na szarym końcu, między pośledniejszemi nacjami". „Gdybyśmy prowadzili inną politykę na wyżynach kultury, mielibyśmy nietylko wybitnych filozofów-żydów, ale sami wznieślibyśmy się na n i e z n a n e dotąd w y ż y n y".

Niestety, pan Chwistek na te „n i e z n a n e w y ż y n y" (prowadząc inną politykę) się nie wzniósł. Aczkolwiek jest „entuzjastą Wszechnicy Jerozolimskiej" *(sic)*, domaga się „prawa azylu dla uczonych żydowskich z Niemiec", wróży, że w „nowych warunkach udział żydów w pracy kulturalnej u nas bardzo wybitnie wzrośnie", to to wszystko Chwistkowe imponuje tylko chyba chłystkom no i... panu Bleibergowi, awansującemu za to p. Chwistka na „wybitnego polskiego uczonego", humanistę, artystę, logika, estetyka, matematyka i „jedną z najciekawszych niewątpliwie i najoryginalniejszych postaci polskiego świata naukowego".

Nie podzielamy niestety tym razem poglądów p. Bleiberga. Dla nas, sądząc i po tej ostatniej elukubracji, jest to typowy galicyjski „półinteligent z doktoratem", prymityw z *darkest Lodomerry*, no i oczywiście nie żaden futurysta, ale w całem tego słowa znaczeniu passeita „z okresu przedwojennego zastoju". Barbarzyńcą zaś można być urodzonym, predestynowanym, nieuleczalnym, dożywotnim, nawet cytując co godzinę... Husserla i wydziwiając... współczesnym od ciemnoty. Murzyni z plemienia Mbaju-mbaju też wdziewają na gołe łydki mankiety a pewne *„bagatelles"* zakrywają półkoszulkami (plastronami). Tym, co tak nie zakrywają, wydziwiają wyniośle od barbarzyńców.

No, ale dlaczego firma Gebethner popiera od jakiegoś czasu z uporem i na przekór takich Murzynów?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Żydzi — od „Hajnta" do „Wiadomości Literackich" — rzucili się na prof T a d e u s z a Z i e l i ń s k i e g o za to, że zaprosił min. Goebbelsa do Warszawy. Nazywają z tego powodu uczonego „ordynarnym antysemitą". Prof. Zieliński osadza żydów: z jednej strony „Hellenizm i judaizm", z drugiej „Hitleryzm i judaizm". To bardzo ordynarne.

*

Dlaczego młyn rzeczny z ironją patrzy na wiatraki? Bo wiatrak jest agenturą obcych wiatrów, wiejących raz z Zachodu, to znów ze Wschodu, a młyn ma popęd w swojej „wiernej rzece".

*

[W gimnazjum między siódmakami]

— Dlaczego ubrano nas w takie brzydkie mundury? Wyglądają jak kiepska liberja?

— To także jeden ze środków wychowania państwowego: ma przypominać ideał pedagogiczny dzisiejszej szkoły.

— Jaki?

— No właśnie... Liberję...

*

— Poco nam kazali przyszywać te numery na rękaw?

— Nie narzekaj. Młodsi koledzy za parę lat dostaną na prawym rękawie numer indywidualny, jak policja. Przecie to wszystko ułatwia wychowanie państwowe....

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.